

**Agatha Christie**

**Śmiertelna klątwa  
i inne opowiadania**

Tłumaczyła Agnieszka Bihl

Tytuł oryginału: *Miss Marple's Final Cases*

# Azyl

Żona pastora wyszła z za rogu plebanii, niosąc w ramionach pęk chryzantem. Grudki urodzajnej ogrodowej ziemi oblepiły jej ciężkie buty z niewyprawionej skóry, a kilka przyczepiło się nawet do jej nosa, z czego zupełnie nie zdawała sobie sprawy.

Po krótkiej walce zdołała otworzyć zardzewiałą, ledwie trzymającą się na zawiasach bramę. Podmuch wiatru uderzył prosto w zniszczony filcowy kapelusz, który i tak siedział dość zawadiacko na jej głowie.

— A niech to! — wyrwało się Bunch.

Pełni optymizmu rodzice ochrztili ją imieniem Diana, ale już we wczesnym dzieciństwie przysłała panią Harmon z dość oczywistych względów nazywano Bunch\*. Imię przyłgnęło do niej na stałe. Ściskając w ramionach kwiaty, weszła na cmentarz i zbliżyła się do drzwi kościoła.

Listopadowe powietrze przesycone było chłodem i wilgocią. Po niebie mknęły chmury, odsłaniając czasem skrawek błękitu. W kościele panował mrok i ziąb. Ogrzewanie włączano tylko w czasie nabożeństwa.

— Brrr! — wyraziła swe odczucia Bunch. — Lepiej uporam się z tym jak najszybciej. Nie chcę zamarznąć na śmierć.

Z wprawą zrodzoną z praktyki zgromadziła niezbędne akcesoria: flakony, wodę, stojaki na kwiaty.

— Szkoda, że nie mamy lilii — pomyślała. — Dość już tych badylastych chryzantem.

Zręcznymi palcami rozłożyła kwiaty na stojakach.

W jej bukietach nie było nic oryginalnego ani artystycznego, gdyż sama Bunch Harmon nie miała duszy oryginała czy artysty. Lecz dekoracje wyglądały ładnie i miło. Niosąc ostrożnie flakony, szła nawą w stronę ołtarza. Właśnie wtedy z za chmur wyjrzało słońce.

Promienie oświetliły dość surowy, niebiesko-czerwony witraż we wschodnim oknie. Był on darem zamożnego wiktoriańskiego wiernego. Rozjaśnione nagle szybki dały zaskakujący efekt.

— Wyglądają jak klejnoty — pomyślała Bunch.

Zatrzymała się raptownie, patrząc przed siebie. Na schodach prezbiterium leżała jakaś skulona postać.

Bunch ostrożnie odstawiała kwiaty na bok, podeszła do schodów i schyliła się. To był mężczyzna. Uklękła przy nim i delikatnie obróciła go na plecy. Jej palce odszukały puls. Słabe, nierówne

uderzenia i bladozielona twarz nieznanego pozwałały domyślić się prawdy. Bunch nie miała wątpliwości: mężczyzna umierał.

Wyglądał na czterdzieści pięć lat. Miał na sobie ciemny, podniszczony garnitur. Bunch opuściła jego wilgotną dłoń i spojrzała na drugą. Mężczyzna kurczowo przyciskał ją do piersi. Patrząc uważniej, Bunch dostrzegła, że jego palce zaciskały się na czymś, co przypominało kłębek waty albo zwiniętą chustkę do nosa. Wokół zaciśniętej dłoni zauważyła zaschnięte plamy brązowej cieczy. Domyśliła się, że to krew. Przykucnęła i zmarszczyła brwi.

Oczy mężczyzny były do tej pory zamknięte, ale nagle otworzył je i utkwił w twarzy Bunch. Jego wzrok nie był błędny ani nieprzytomny. Patrzył żywo i rozumnie. Poruszył wargami i Bunch nachyliła się, by pochwycić wypowiedane słowa. Właściwie był to tylko jeden wyraz:

— Azyl.

Bunch wydało się, że uśmiechnął się przy tym lekko. Nie przesłyszała się, gdyż po chwili mężczyzna powtórzył:

— Azyl...

Potem z cichym, długim westchnieniem zamknął oczy. Bunch ponownie odszukała jego puls. Bił jeszcze, ale słabiej i z dłuższymi przerwami. Wstała, podejmując decyzję.

— Proszę się nie ruszać — powiedziała. — Niech pan nawet nie próbuje. Idę po pomoc.

Mężczyzna ponownie otworzył oczy, ale tym razem wydawało się, że skupia uwagę na barwnych promieniach słońca padających przez wschodnie okno. Wyszeptał coś, czego Bunch nie dosłyszała. Ze zdumieniem pomyślała, że zabrzmiało to jak imię jej męża.

— Julian? — spytała. — Szukał pan Juliana?

Lecz odpowiedź nie padła. Mężczyzna leżał z zamkniętymi oczami, oddychając wolno i płytko.

Bunch odwróciła się i wybiegła z kościoła. Zerknąwszy na zegarek, z zadowoleniem pokiwała głową. Doktor Griffiths będzie jeszcze w swoim gabinecie. To był zaledwie kilkuminutowy spacer od kościoła. Bunch weszła do środka nie dzwoniąc ani nie pukając, minęła poczekalnię i wkroczyła do gabinetu.

— Musi pan natychmiast przyjść! — oświadczyła. — W kościele leży umierający człowiek.

Parę minut później doktor Griffiths podnosił się z kolan po pobieżnym badaniu.

— Możemy przenieść go na plebanię? Tam będę mógł zająć się nim dokładniej. Choć nie ma to już większego sensu.

— Oczywiście — odparła Bunch. — Pójdę przodem i przygotuję wszystko. Zawołam Harpera i Jonesa, dobrze? Pomogą go przenieść. — Dziękuję. Z plebanii zadzwonię po karetkę, ale obawiam

się, że zanim przyjedzie... — nie dokończył zdania.

— Krwotok wewnętrzny?

Doktor Griffiths skinął głową.

— Jakim cudem się tu znalazł? — zapytał.

— Chyba był tu przez całą noc — powiedziała Bunch z namysłem. — Harper otwiera kościół rano, idąc do pracy, ale zazwyczaj nie wchodzi do środka.

Jakieś pięć minut później doktor Griffiths odkładał słuchawkę telefonu na widełki. Wrócił potem do pokoju, w którym ranny leżał na kocach rozścielonych pośpiesznie na sofie. Bunch wyniosła miskę z wodą i zaczęła sprzątać po przeprowadzonym przez lekarza badaniu.

— To tyle — powiedział doktor Griffiths. — Wezwałem karetkę i zawiadomiłem policję.

Stał ze zmarszczonym czołem, spoglądając na pacjenta. Mężczyzna miał zamknięte oczy; nerwowo szarpał koc wyciągniętą wzdłuż boku ręką.

— Został postrzelony — wyjaśnił Griffiths. — Z bardzo małej odległości. Zwinął chustkę do nosa w kulę i przytknął do rany, żeby powstrzymać krwawienie.

— Czy mógł odejść daleko po tym, jak został ranny? — zapytała Bunch.

— Tak, to możliwe. Słyszałem o śmiertelnie rannym człowieku, który zdołał wstać i przejść ulicą, jakby nic się nie stało. Upadł dopiero w pięć czy dziesięć minut później. Możliwe, że do tego mężczyzny wcale nie strzelano w kościele, ale zupełnie gdzie indziej. A może sam się postrzelił, upuścił broń i powłókł się półprzytomny w stronę kościoła. Choć nie bardzo rozumiem, dlaczego właśnie tam, a nie na plebanię.

— Ja wiem — stwierdziła Bunch. — Wyjaśnił to. Powiedział: „Azyl”.

Doktor popatrzył na nią, zaskoczony.

— Azyl?

— Jest Julian — zauważyła Bunch, odwracając głowę na dobiegający z holu odgłos kroków. — Julian! Przyjdź tutaj.

Do pokoju wszedł wielebny Julian Harmon. Wiecznie pochłonięty rozprawami naukowymi, wydawał się dużo starszy, niż był w rzeczywistości.

— Na Boga! — zawołał patrząc z zaskoczeniem na sprzęt chirurgiczny i postać rozciągniętą na sofie.

Bunch z typową dla siebie zwięzłością wyjaśniła sytuację:

— Leżał w kościele. Umierał. Strzelano do niego. Znasz go, Julianie? Wydawało mi się, że wymienił twoje imię.

Pastor podszedł do sofy i spojrzał na rannego.

— Biedny człowiek — stwierdził. — Nie — potrząsnął przecząco głową — nie znam go. Jestem niemal całkowicie pewny, że nigdy go nie widziałem.

W tej samej chwili umierający otworzył oczy. Jego wzrok powędrował od doktora do Juliana Harmona, a potem do jego żony. Zatrzymał się na niej, wpatrzony prosto w jej twarz. Griffiths podszedł bliżej.

— Gdyby mógł nam pan powiedzieć... — zaczął żywo. Lecz mężczyzna, wciąż spoglądając na Bunch, odezwał się słabym głosem:

— Proszę... proszę...

A potem drgnął lekko i umarł...

Sierżant Hayes poślinił ołówek i przewrócił stronę notesu.

— I to wszystko, co może mi pani powiedzieć, pani Harmon?

— Wszystko — potwierdziła Bunch. — A to rzeczy z kieszeni jego płaszcza.

Na stoliku, przy łokciu sierżanta Hayesa leżał portfel, podniszczony zegarek z inicjałami W.S. i powrotny bilet do Londynu. Nic więcej. — Dowiedział się pan, kto to jest? — spytała Bunch.

— Na posterunek zadzwonili ludzie nazwiskiem Eccles. Najwyraźniej był bratem pani Eccles. Nazywał się Sandboume. Od jakiegoś czasu chorował i cierpiał na rozstrój nerwowy. Ostatnio mu się pogorszyło. Przedwczoraj wyszedł z domu i nie wrócił. Zabrał ze sobą rewolwer.

— I przyszedł tu, żeby się zastrzelić? — spytała Bunch.

— Dlaczego?

— Widzi pani, był przygnębiony...

Bunch przerwała mu:

— Nie o to mi chodzi. Pytam: dlaczego tutaj? Ponieważ sierżant Hayes najwyraźniej nie znał odpowiedzi, rzucił właściwie bez związku:

— Przyjechał autobusem o piątej dziesiątej.

— Tak. Ale dlaczego? — upierała się Bunch.

— Nie wiem, pani Harmon — poddał się policjant.

— Trudno to wytłumaczyć. Osoby chore psychicznie...

Bunch dokończyła za niego:

— Mogą zabić się wszędzie. Ale nadal uważam, że nie trzeba aż jechać autobusem do małej wioski. Nie znał tu nikogo, prawda?

— O ile wiemy, nie — potwierdził sierżant. Zakaszał przepraszająco i wstał, mówiąc:

— Być może państwo Eccles przyjadą porozmawiać z panią... jeśli się pani zgodzi.

— Oczywiście, że się zgadzam. To przecież naturalne. Szkoda tylko, że nie mogę im nic powiedzieć.

— Pójdę już — oświadczył policjant.

— Cieszę się — mówiła Bunch, idąc za nim do drzwi i — że to nie było morderstwo.

Do bramy plebanii podjechał jakiś samochód. Sierżant Hayes spojrzał i zauważył:

— Wygląda na to, że państwo Eccles właśnie się zjawili.

Bunch zebrała się w sobie, by stawić czoło trudnemu — jak sądziła — obowiązkowi.

— Mogę przecież wezwać na pomoc Juliana — pomyślała. — Duchowny potrafi pocieszyć pogrążonych w smutku ludzi.

Bunch nie mogłaby określić, czego się spodziewała po przybyłych, ale witając ich była zaskoczona. Pan Eccles był tęgim, rumianym mężczyzną, w normalnych okolicznościach najprawdopodobniej wesołym i skorym do żartów. W pani Eccles wyczuwało się pewien fałsz. Miała wąskie, chytne, zaciśnięte usta. Odezwała się cienkim, piskliwym głosem:

— Wyobraża sobie pani, jaki to dla nas szok, pani Harmon.

— Tak, oczywiście — odparła Bunch. — Proszę wejść i usiąść. Czy mogę państwa poczęstować... Chyba jeszcze za wcześnie na herbatę?

Pan Eccles zamachał pulchną dłonią.

— Nie, nie, nic nie trzeba. To bardzo miło z pani strony. Chcieliśmy tylko... cóż... Co biedny William powiedział, zanim...?

— Spędził długi czas za granicą — zaczęła pani Eccles.

— Miał jakieś bardzo przykre doświadczenia. Po powrocie stał się cichy i przygnębiony. Mawiał, że nie sposób żyć na tym świecie i że nie ma na co czekać. Biedny Bill, zawsze ulegał nastrojom.

Bunch obserwowała ich bez słowa.

— Zabrał rewolwer męża — ciągnęła pani Eccles.

— Bez naszej wiedzy. Potem najwyraźniej przyjechał tu autobusem. To miłe z jego strony. Na pewno nie chciał tego zrobić u nas w domu.

— Biedak — podjął pan Eccles, wzdychając. — Nie nam go osądzać.

Po kolejnej pauzie pan Eccles zapytał: — Czy zostawił jakąś wiadomość? Ostatnie słowa? Jego bystre świńskie oczka wpatrywały się w Bunch.

Pani Eccles pochyliła się do przodu, równie ciekawa odpowiedzi.

— Nie — odparła Bunch cicho. — Wszedł do kościoła, szukając azylu.

Pani Eccles powtórzyła, zaskoczona:

— Azylu? Chyba nie całkiem rozumiem... Wtrącił się pan Eccles:

— Chodziło mu o święte miejsce, moja droga — wyjaśnił niecierpliwie. — Pastorowa to miała na myśli. Samobójstwo jest grzechem, jak sama wiesz. Pewnie chciał dostać rozgrzeszenie.

— Usiłował coś powiedzieć tuż przed śmiercią — odezwała się Bunch. — Mówił: „Proszę”, ale nie zdołał dokończyć.

Pani Eccles przyłożyła chusteczkę do oczu i pociągnęła nosem.

— Och, mój Boże — powiedziała. — Jakie to przygnębiające.

— Spokojnie, Pam — pocieszał ją mąż. — Nie bierz tego tak do serca. Na te rzeczy nic nie można poradzić. Biedny Willie. No, ale teraz spoczywa w pokoju. Cóż, bardzo pani dziękujemy, pani Harmon. Mam nadzieję, że w niczym pani nie przeszkodziliśmy. Wiemy, że żona pastora ma dużo zajęć.

Pożegnali się, ściskając jej rękę. Wychodząc pan Eccles odwrócił się raptownie.

— Och, jeszcze jedna sprawa. Ma pani chyba jego płaszcz, prawda?

— Jego płaszcz? — Bunch zmarszczyła w skupieniu brwi.

— Chcielibyśmy odebrać wszystkie jego rzeczy — odezwała się pani Eccles. — Ze względów uczuciowych.

— W kieszeniach miał zegarek, portfel i bilet kolejowy — powiedziała Bunch. — Oddałam te rzeczy sierżantowi Hayesowi.

— W takim razie wszystko w porządku — stwierdził pan Eccles. — Pewnie je nam przekaże. Dokumenty powinny być w portfelu.

— W portfelu był tylko banknot jednofuntowy — rzuciła Bunch. — Nic poza tym.

— Żadnych listów?

Bunch potrząsnęła przecząco głową.

— Cóż, jeszcze raz dziękujemy, pani Harmon. A płaszcz... też jest u sierżanta?

Bunch usiłowała sobie przypomnieć.

— Nie — powiedziała wreszcie. — Nie sędzę. Niech się zastanowię. Zdjęliśmy mu z doktorem płaszcz, żeby obejrzeć ranę.

Rozejrzała się niepewnie po pokoju. — Musiałam zanieść go na górę, razem z ręcznikami i miednicą.

— Jeśli się pani zgodzi, chcielibyśmy otrzymać go z powrotem. Rozumie pani, to ostatnia rzecz, którą miał na sobie. Moja żona jest dość sentymentalna.

— Oczywiście. Czy oddać go najpierw do czyszczenia? Obawiam się, że jest... poplamiony.

— Och, nie, nie. Nic nie szkodzi. Bunch zamyśliła się.

— Ciekawe, gdzie... Przepraszam na chwilę.

Poszła na górę. Wróciła dopiero po paru minutach.

— Tak mi przykro — odezwała się, z trudem łapiąc oddech. — Sprzątaczką musiała odłożyć go z innymi rzeczami do pralni. Odszukanie go zajęło mi trochę czasu. Oto i on. Zawinę go w papier.

Zrobiła to, lekceważąc ich protesty. Ecclesowie odjechali, po raz drugi żegnając się wylewnie. Bunch wolnym krokiem przecięła korytarz i weszła do gabinetu. Wielebny Julian Harmon podniósł wzrok, a jego oblicze rozjaśniło się. Układał kazanie i miał poważne obawy, czy nie zanadto zagłębił się w polityczne stosunki łączące Judeę i Persję za czasów Cyrusa.

— Tak, kochanie? — spytał.

— Julian — zaczęła Bunch — co właściwie azyl ma wspólnego z kościołem?

Julian Harmon z ulgą odsunął kazanie na bok.



— Otóż w greckich i rzymskich świątyniach posąg boga stał w pomieszczeniu nazywanym cellą. Łacińska nazwa ołtarza, *ara*, oznacza również schronienie.

Kontynuował uczonym tonem:

— W trzysta dziewięćdziesiątym dziewiątym roku naszej ery chrześcijaństwo ustanowiło prawo azylu w miejscu świętym. Najwcześniejsza wzmianka o jego zastosowaniu w Anglii znajduje się w *Kodeksie praw Ethelberta*, z roku sześćset...

Ciągnął wykład jeszcze przez jakiś czas, ale jak zwykle z toku myśli wytrącił go sposób, w jaki żona przyjęła jego wywód.

— Kochanie — powiedziała — jesteś słodki. Nachyliła się i ucałowała go w czubek nosa. Julian poczuł się jak piesek, którego chwalono za sprytną sztuczkę.

— Byli tu Ecclesowie — podjęła Bunch.

Pastor zmarszczył brwi.

— Ecclesowie? Nie pamiętam...

— Nie znasz ich. To siostra i szwagier mężczyzny z kościoła.

— Powinnaś mnie była zawołać, moja droga.

— Nie było potrzeby. Nie szukali pocieszenia. Zastanawiam się, czy... — zamyśliła się. — Poradzisz sobie, jeśli rano włożę potrawkę do piekarnika? Powinam pojechać do Londynu poszaleć po sklepach.

— Szale? — mąż patrzył na nią zdezorientowany. — Wydawało mi się, że mamy dość szalików w szafie.

Bunch roześmiała się.

— Ależ nie, kochanie. U Barrowsa i Portmana jest wyprzedaż. No wiesz: prześcieradła, obrusy, ręczniki, ściereczki do naczyń. Ciekawe, co wyrabiamy z naszymi, że tak szybko się niszczą.

Po chwili dodała z namysłem:

— A poza tym powinam odwiedzić ciocię Jane.

Panna Jane Marple, przemiła starsza dama, na dwa tygodnie przeniosła się do Londynu. Podziwiła uroki metropolii, mieszkając wygodnie w pracowni swego bratanka.

— Tak sympatycznie ze strony Raymonda — opowiadała. — Razem z Joan wyjechał na

czternaście dni do Ameryki. Nalegali, żebym przyjechała tu i rozerwała się. A teraz powiedz mi, kochanie, co cię trapi.

Bunch była ulubioną chrzestną córką panny Marple. Starsza pani popatrzyła na nią serdecznie. Bunch zsunęła z czoła swój najlepszy filcowy kapelusz i zaczęła opowieść.

Przedstawiła fakty jasno i zwięźle. Kiedy skończyła, panna Marple pokiwała głową.

— Rozumiem — powiedziała.

— Dlatego uważałam, że muszę cię zobaczyć. Widzisz, nie jestem zbyt mądra...

— Ależ jesteś, kochanie.

— Nie. Nie jestem tak mądra, jak Julian.

— Julian jest oczywiście bardzo inteligentny — przyznała panna Marple.

— No właśnie — powiedziała Bunch. — Julian jest inteligentny, ale, z drugiej strony, ja jestem rozsądna.

— Jesteś bardzo rozsądna, Bunch, i bardzo inteligentna. — Nie wiem, co powinnam zrobić. Nie mogę zapytać Juliana, bo... Julian jest tak prostolinijny i prawy...

Panna Marple zrozumiała ją doskonale.

— Wiem, o co ci chodzi, kochanie. Z nami, kobietami, jest inaczej. Opowiedziałas mi, co się stało — ciągnęła — ale najpierw chciałabym się dowiedzieć, co sama o tym myślisz.

— Nic do siebie nie pasuje — zaczęła Bunch. — Mężczyzna w kościele wiedział o prawie azylu. Powiedział to dokładnie tak, jak ująłby to Julian. To znaczy, że był czytany i wykształcony. Gdyby się postrzelił, nie włókłby się do kościoła i nie żądał schronienia. Według starego prawa jeśli ścigany znalazł się w kościele, był bezpieczny. Napastnicy nie mogli go tknąć. Dawniej nawet sąd nie mógłby go ruszyć.

Spojrzała pytająco na pannę Marple. Staruszka skinęła głową i Bunch podjęła opowiadanie:

— Ecclesowie należą do zupełnie innego gatunku. To ignoranci i prostacy. I jeszcze coś. Zegarek zmarłego. Na kopercie były inicjały W.S. Ale kiedy go otworzyłam, znalazłam w środku maleńki napis: „Walterowi od ojca”, i datę. A więc Walter. A Ecclesowie mówili o nim William albo Bill.

Panna Marple chciała coś wtrącić, ale Bunch szybko ciągnęła dalej:

— Oczywiście wiem, że nie zawsze używa się imienia nadanego na chrzcie. Rozumiem, że na Williama można wołać Śledź albo Marchewka. Ale siostra nie mówiłaby do brata William albo Bill, gdyby nazywał się Walter.

— To znaczy, że to nie jego siostra?

— Jestem tego pewna. I mąż, i żona byli okropni. Przyjechali na plebanię, żeby odebrać jego rzeczy i dowiedzieć się, czy nie powiedział czegoś przed śmiercią. Kiedy przyznałam, że nie, zobaczyłam na ich twarzach ulgę. Uważam — zakończyła Bunch — że to Ecclesowie go zastrzelili.

— A więc to morderstwo?

— Tak. Morderstwo. Dlatego do ciebie przyjechałam. Nie wtajemniczonymu słuchaczowi decyzja Bunch mogłaby wydać się dziwna. Lecz w pewnych kręgach panna Marple słynęła ze zdolności detektywistycznych.

— Powiedział „proszę”, zanim umarł — dodała Bunch. — Chciał, żebym coś dla niego zrobiła. Tylko że ja naprawdę nie mam pojęcia, co.

Panna Marple rozmyślała przez chwilę, a potem skoncentrowała się na kwestii, która już wcześniej trapiła Bunch.

— Dlaczego tam się znalazł? — spytała starsza pani.

— No właśnie — powiedziała Bunch. — Ktoś, kto szuka azylu, mógłby wejść do każdego kościoła. Nie ma potrzeby wsiadać w autobus kursujący tylko cztery razy dziennie i przyjeżdżać do takiej samotni jak nasza.

— Musiał mieć w tym jakiś cel — myślała głośno panna Marple. — Na pewno chciał się z kimś spotkać. Bunch, Chipping Cleghorn nie jest dużą miejscowością. Może przyszło ci do głowy, kogo mógłby odwiedzić?

Bunch przypomniała sobie w myślach wszystkich mieszkańców wioski i potrząsnęła z powątpiewaniem głową.

— Właściwie — stwierdziła — to mógł być każdy.

— Nie wspomniał żadnego nazwiska?

— Powiedział „Julian”, tak mi się wydawało. Równie dobrze mogła to być Julia. O ile wiem, w Chipping Cleghorn nie mieszka żadna Julia.

Zmrużyła oczy, usiłując przywołać w pamięci scenę w kościele. Mężczyzna leżał na stopniach prezbiterium, promienie słońca wpadały przez kolorowe szybki, skrzące się niczym klejnoty.

— Klejnoty — powiedziała panna Marple z namysłem.

— Docieramy do najważniejszej sprawy — ciągnęła Bunch. — Mówię o prawdziwej przyczynie mojego przyjazdu. Ecclesowie narobili sporo zamieszania, dopominając się o jego płaszcz. Zdjęliśmy go, kiedy doktor badał rannego. To był stary, poprzecierany płaszcz i nikt by go nie chciał. Ecclesowie udawali, że ma wartość ze względów sentymentalnych, ale to bzdura.

— W każdym razie — opowiadała dalej Bunch — poszłam poszukać go na górę. Idąc po schodach przypomniałam sobie, że ten człowiek poruszał wciąż dłonią, jakby szperał w kieszeni. Więc kiedy znalazłam płaszcz, obejrzałam go uważnie. W jednym miejscu podszewkę przyszyto inną nicią. Oderwałam materiał i w środku znalazłam skrawek papieru. Wyjęłam go, znalazłam pasującą nitkę i przyszyłam podszewkę z powrotem. Bardzo się starałam i Ecclesowie chyba niczego nie zauważyli. Chociaż nie mogę być pewna. Zniosłam płaszcz na dół i przeprosiłam, że to trwało tak długo.

— A ten skrawek papieru? — spytała panna Marple.

Bunch otworzyła torebkę.

— Nie pokazałam go Julianowi, bo powiedziałyby, że mam go zwrócić Ecclesom. Wolałam go pokazać tobie.

— Kwit z przechowalni bagażu — stwierdziła panna Marple. — Z dworca Paddington.

— W kieszeni miał bilet powrotny do Paddington — dodała Bunch.

Wymieniły spojrzenia.

— To wymaga działania — stwierdziła żwawo panna Marple. — Ale mądrze będzie zachować ostrożność. Zauważyłaś może, kochanie, czy ktoś cię dziś śledził?

— Śledził! — wykrzyknęła Bunch. — Nie sądzisz chyba...

— To całkiem możliwe — powiedziała panna Marple.

— A w takim wypadku powinniśmy podjąć pewne środki ostrożności.

Wstała energicznie.

— Przyjechałaś tu oficjalnie na wyprzedaż. Dlatego też sądzę, że powinniśmy obie wybrać się na zakupy; Przed wyjściem coś jeszcze załatwimy. Raczej nie będzie mi w tej chwili potrzebny stary cętkowany płaszcz z bobrowym kołnierzem — dodała niezbyt zrozumiale.

Półtorej godziny później obie panie, zmęczone i sponiewierane, ale z paczkami ciężko zdobytych tekstyliów, zasiadły w małej, odosobnionej kawiarence o nazwie „Gałązka Jabłoni”. Zamierzały odzyskać siły posilając się stekiem, puddingiem z nerek, a na deser — szarlotką z kremem.

— Ręcznik do twarzy przedwojennej jakości — powiedziała panna Marple, powoli odzyskując oddech.

— Jest na nim nawet wyhaftowane „J”. Jak dobrze się składa, że żona Raymonda ma na imię Joan. Schowam ręczniki, dopóki naprawdę nie będą mi potrzebne. A jeśli umrę wcześniej, niż się spodziewam, będą jak znalazł dla niej.

— Bardzo potrzebowałam ściereczek do naczyń — wyznała Bunch. — Są śmiesznie tanie, choć nie

tak tanie jak te, które wyrwała mi ta ruda baba.

Do „Gałązki Jabłoni” weszła wystrojona młoda kobieta. Miała mocno umalowane policzki i usta. Rozejrzawszy się niepewnie, podeszła spieszenie do ich stolika i położyła przed panną Marple kopertę.

— Proszę — powiedziała żywo.

— Dziękuję, Gladys — odparła panna Marple. — Bardzo dziękuję.

— Cieszę się zawsze, ilekroć mogę pani pomóc — powiedziała Gladys. — Ernie ciągle mi powtarza: „Wszystkiego, co dobre, nauczyłaś się od tej panny Marple, u której służyłaś”. Zawsze jestem gotowa pani pomóc.

— To taka słodka dziewczyna — zauważyła panna Marple, kiedy Gladys wyszła. — Skora do pomocy i miła.

Zajrzała do koperty i wręczyła ją Bunch.

— Bądź teraz ostrożna, kochanie. A przy okazji, czy w Melchester jest jeszcze ten sympatyczny młody inspektor?

— Nie wiem — odparła Bunch. — Pewnie tak.

— Jeśli nie — mówiła panna Marple z namysłem — zadzwonię do komisarza. Powinien mnie pamiętać.

— Na pewno cię pamięta — powiedziała Bunch. — Każdy by cię zapamiętał. Jesteś wyjątkowa.

Podniosła się.

Dotarwszy na dworzec Paddington, Bunch poszła prosto do przechowalni bagażu i przedstawiła kwit. W chwilę potem podano jej starą, zniszczoną walizkę, z którą weszła na peron.

Podróż do domu minęła jej bez przygód. Wstała, kiedy pociąg dojeżdżał do Chipping Cleghorn, i wzięła walizkę. Gdy wyszła z wagonu, na peron wbiegł jakiś mężczyzna, wyrwał jej walizkę z ręki i zaczął uciekać.

— Stój! — krzyknęła Bunch. — Zatrzymajcie go! Ukradł moją walizkę!

Konduktor wiejskiej stacji, przyzwyczajony, że nie ma się po co śpieszyć, zaczął właśnie mówić:

— Hej, słuchaj pan, nie wolno tak robić...

Złodziej uderzył go w pierś, spychając z drogi, i wypadł z dworca. Pobiegł do czekającego samochodu. Wrzucił do środka walizkę i już wsiadał, kiedy na ramię opadła mu czyjaś dłoń.

— Co się tu dzieje? — zapytał posterunkowy Abel.

Nadbiegła Bunch, ledwie dysząc.

— Zabrał moją walizkę. Właśnie wysiadałam z pociągu.

— Bzdura — rzucił mężczyzna. — Nie mam pojęcia, o czym ta pani mówi. To moja walizka. Dopiero co przyjechałem.

Zmierzył Bunch obojętnym wzrokiem.

Nikt by nie zgadł, że w wolnym czasie posterunkowy Abel spędzał z panią Harmon długie chwile, omawiając dobroczynny wpływ nawozu i kości na różane krzewy.

— A więc twierdzi pani, że to pani walizka? — zapytał.

— Tak — odparła Bunch. — Z całą pewnością moja.

— A według pana?

— Walizka należy do mnie.

Mężczyzna był wysoki, ciemnowłosy, dobrze ubrany. Zachowywał się wyniośle, z naciskiem wymawiając słowa. Ze środka samochodu rozległ się damski głos:

— Ależ oczywiście to twoja walizka, Edwinie. Nie wiem, o co chodzi tej kobiecie.

— Będziemy musieli to wyjaśnić — zdecydował posterunkowy Abel. — Jeśli walizka należy do pani, proszę powiedzieć, co jest w środku.

— Ubrania — odparła Bunch. — Długi cętkowany płaszcz z bobrowym kołnierzem, dwa wełniane swetry i para butów.

— To wystarczy — ocenił posterunkowy Abel i zwrócił się do mężczyzny.

— Szyję kostiumy dla teatru — oznajmił z wyższością ciemnowłosy mężczyzna. — W walizce znajdują się kostiumy teatralne, które przywiozłem na przedstawienie amatorskie.

— W porządku, proszę pana — powiedział posterunkowy. — Wobec tego zajrzymy do środka i sprawdzimy, dobrze? Możemy pójść na posterunek, ale jeśli się państwo śpieszą, wrócimy z walizką na dworzec i tam ją otworzymy.

— To mi odpowiada — zgodził się mężczyzna. — A przy okazji, nazywam się Moss. Edwin Moss.

Posterunkowy z walizką w ręce wszedł na dworzec.

— Weźmiemy ją do przechowalni bagażu — zawołał w stronę konduktora.

Położył walizkę na ladzie przechowalni i odpiął klamry. Walizka nie była zamknięta na zamek. Bunch i Edwin Moss stanęli po obu jego stronach, zerkając na siebie mściwie.

— Ach! — wykrzyknął policjant, podnosząc wieko. W środku leżał schludnie złożony płaszcz z bobrowym kołnierzem. Były też dwa swetry i para półbutów.

— Dokładnie jak pani mówiła — posterunkowy zwrócił się do Bunch.

Nikt nie mógłby zarzucić panu Mossowi, że nie umiał się znaleźć. Wspaniale odegrał przerażenie i skruchę.

— Po stokroć przepraszam — powiedział. — Bardzo mi przykro. Proszę mi wierzyć, droga pani, naprawdę niezmiernie mi przykro. Moje zachowanie było niewybaczalne.

Zerknął na zegarek.

— Muszę pędzić. Moja walizka najpewniej pojechała dalej pociągiem.

Unosząc kapelusz powiedział, rozplływając się w przeprosinach:

— Proszę, błagam, niech mi pani wybaczy.

I wypadł pędem z przechowalni bagażu.

— Pozwoli mu pan uciec? — spytała konspiracyjnym szeptem Bunch.

Posterunkowy powoli zmrużył oko.

— Nie odejdzie daleko, proszę pani — powiedział.

— To znaczy bez kogoś, kto by na niego uważał, jeśli domyśla się pani, o czym mówię.

— Och — Bunch odetchnęła z ulgą.

— Dzwoniła do nas ta starsza pani — ciągnął posterunkowy Abel. — Ta, która mieszkała niedaleko parę lat temu. Bystra osoba, prawda? Mieliśmy dziś sporo zamieszania. Nie zdziwiłbym się, gdyby inspektor albo sierżant wpadli do pani jutro rano.

Rankiem zjawił się inspektor. Był to ten sam inspektor Craddock, którego zapamiętała panna Marple. Powitał Bunch, uśmiechając się jak stary przyjaciel.

— I znów mamy zbrodnię w Chipping Cleghorn — oświadczył radośnie. — Nie brak tu pani sensacji, co, pani Harmon?

— Obyłabym się bez nich — odparła Bunch. — Przyszedł pan przesłuchać mnie czy dla odmiany

pan mi coś opowie?

— Najpierw coś opowiem — powiedział inspektor. — Na początek, państwo Eccles od jakiegoś czasu byli śledzeni. Mamy powody podejrzewać, że są zamieszani w kilka okolicznych rabunków. Druga sprawa: chociaż pani Eccles naprawdę ma brata nazwiskiem Sandbourne, który niedawno wrócił z zagranicy, człowiek, którego znalazła pani wczoraj w kościele, na pewno nim nie jest.

— Wiedziałam — powiedziała Bunch. — Przede wszystkim na imię miał Walter, a nie William.

Inspektor skinął głową.

— Nazywał się Walter St John. Czterdzieści osiem godzin wcześniej zbiegł z więzienia Charrington.

— Oczywiście — powiedziała do siebie Bunch — ścigało go prawo i szukał schronienia.

Spytała inspektora:

— Co zrobił?

— Muszę się sporo cofnąć w przeszłość. To dość skomplikowana historia. Kilka lat temu w music-hallach występowała pewna tancerka. Raczej nie mogła pani o niej słyszeć. Specjalizowała się w tańcu arabskim. Nosił tytuł *Aladyn w Jaskini Skarbów*. Tańczyła ubrana w naszyjniki z górskich kryształów. Właściwie tylko w nie. Nie miała wielkiego talentu, jak sądzę, ale była bardzo... atrakcyjna. Zauroczyła jakiegoś azjatyckiego księcia. Podarował jej, oprócz innych prezentów, wspaniały naszyjnik ze szmaragdów.

— Klejnoty koronne? — spytała podekscytowana Bunch.

Inspektor Craddock rozkaszał się.

— Raczej ich bardziej współczesną wersję, szanowna pani. Sam związek nie trwał długo. Zerwali, kiedy uwagę naszego milionera zwróciła filmowa gwiazda o nie tak skromnych żądaniach. Zobeida (tak brzmiał jej pseudonim sceniczny) zatrzymała naszyjnik, który wkrótce skradziono. Zniknął z jej garderoby. Władze podejrzewały, że mogła sama upozorować kradzież. Robiono takie rzeczy dla reklamy albo i z mniej uczciwych powodów. Nigdy go nie odnaleziono. W toku śledztwa uwagę policji przyciągnął Walter St John. Pochodził z dobrej rodziny, był wykształcony, ale staczał się coraz niżej i wreszcie zatrudnił się w dość podejrzanej firmie jubilerskiej. Podobno przechodziły przez nią skradzione klejnoty. Mamy dowody, że naszyjnik znalazł się w jego rękach. Jednakże przed sąd trafił w związku z inną kradzieżą. Udowodniono mu winę i skazano na więzienie. Kończył już odsiadywać wyrok, więc jego ucieczka była sporym zaskoczeniem.

— Ale dlaczego przyjechał tutaj? — spytała Bunch.

— Bardzo chcielibyśmy to wiedzieć, pani Harmon. Najpierw pojechał do Londynu. Nie odwiedził swoich dawnych kolegów. Zobaczył się ze starszą kobietą nazwiskiem Jacobs. Dawniej była garderobianą w teatrze. Nie chciała powiedzieć, po co przyjechał. Inni lokatorzy domu zauważyli, że



wyszedł z walizką.

— Rozumiem — powiedziała Bunch. — Zostawił ją w przechowalni na dworcu Paddington i przyjechał tutaj.

— Wtedy już na jego ślad wpadli Eccles i człowiek, który przedstawił się jako Edwin Moss. Szukali walizki. Widzieli, jak wsiadał do autobusu. Wyprzedzili go samochodem i czekali na niego, kiedy wysiadł.

— I zabili go?

— Tak. Zastrzelili. Rewolwer należał do Ecclesa, ale według mnie strzelał Moss. A teraz, pani Harmon, chcielibyśmy dowiedzieć się, gdzie jest walizka zostawiona przez Waltera St Johna na dworcu Paddington.

Bunch uśmiechnęła się.

— W tej chwili jest już chyba u cioci Jane — powiedziała. — To znaczy u panny Marple. Zgodnie z jej planem. Wysłała na dworzec swoją dawną pokojówkę z walizką zawierającą ubrania. Zamieniłyśmy kwity. Ja odebrałam jej walizkę i przywiozłam ze sobą pociągiem. Ciocia uważała, że ktoś spróbuje mi ją ukraść.

Tym razem uśmiechnął się inspektor.

— Tak powiedziała mi przez telefon. Jadę do niej do Londynu. Chce pani też pojechać, pani Harmon?

— No cóż... — Bunch zastanowiła się. — Właściwie dobrze się składa. Zeszłej nocy rozboleł mnie ząb. Powinnam odwiedzić w Londynie dentystę, nie sądzi pan?

— Oczywiście — odparł inspektor Craddock.

Panna Marple przeniosła wzrok z twarzy inspektora Craddocka na podekscytowaną Bunch. Walizka leżała na stole.

— Oczywiście nie otwierałam jej — powiedziała. — Nie śmiałabym tego zrobić, dopóki nie zjawi się przedstawiciel władzy. A poza tym — dodała w prawdziwie wiktoriańskim stylu, łącząc w uśmiechu psotę i powagę — jest zamknięta na klucz. — Domyśla się pani, co jest w środku? — zapytał inspektor.

— Chyba nie teatralne kostiumy Zobeidy — odparta panna Marple. — Potrzebuje pan pilnika, inspektorze?

Pilnik szybko rozwiązał problem. Kiedy wieko odskoczyło, obie kobiety gwałtownie złapały oddech. Wpadające przez okno słońce rozświetliło coś, co wyglądało na nieprzebrany stos

błyszczących klejnotów: czerwonych, niebieskich, zielonych i żółtych.

— Jaskinia Aladyna — zauważyła panna Marple. — Błyszczące klejnoty, w których tańczyła Zobeida.

— Aha — potwierdził inspektor Craddock. — Jak pani sądzi, co jest w nich aż tak cennego, że zabito dla nich człowieka?

— To była pewnie sprytna dziewczyna — odparła panna Marple z namysłem. — Nie żyje już, prawda, inspektorze?

— Zmarła trzy lata temu.

— Miała naszyjnik ze szmaragdów — ciągnęła panna Marple w zadumie. — Kazała wyjąć kamienie z oprawy. Przyszyła je do swojego kostiumu, gdzie każdy wziąłby je za zwyczajne, kolorowe szkiełka. Potem zamówiła kopię naszyjnika i to kopię właśnie ukradziono. Nic dziwnego, że nikt nie próbował jej sprzedać. Złodziej szybko przekonał się, że kamienie są fałszywe.

— Tu jest koperta — zauważyła Bunch, odsuwając na bok lśniące klejnoty.

Inspektor wziął ją do ręki i wyjął ze środka dwa dokumenty. Przeczytał na głos:

„Świadectwo ślubu Waltera St Johna i Mary Moss”. — Tak brzmiało prawdziwe nazwisko Zobeidy.

— A więc byli małżeństwem — powiedziała panna Marple. — Rozumiem.

— A drugi dokument? — spytała Bunch.

— Świadectwo urodzenia córki o imieniu Jewel\*.

— Jewel? — wykrzyknęła Bunch. — Ależ oczywiście! Jewel! Jill! Teraz rozumiem, po co przyjechał do Chipping Cleghorn. To właśnie usiłował mi powiedzieć. Jewel. Chodzi o państwa Mundy. Z Laburnum Cottage. Opiekują się czyjąś córeczką. Bardzo są do niej przywiązani. Traktują ją jak własną wnuczkę. Przypominam sobie, rzeczywiście ma na imię Jewel. Tyle że oni nazywają ją Jill. Pani Mundy miała wylew jakiś tydzień temu, a starszy pan jest ciężko chory na zapalenie płuc. Oboje mieli iść do szpitala. Staralam się znaleźć inną rodzinę dla Jill. Nie chciałam, żeby oddano ją do sierocińca. Jej ojciec musiał o tym usłyszeć. Uciekł z więzienia i odebrał walizkę od dawnej garderobianej, u której on lub jego żona ją zostawili. Jeśli klejnoty rzeczywiście należały do matki Jill, dziewczynka może je teraz wykorzystać.

— Tak sądzę, pani Harmon. O ile są tutaj.

— Na pewno są — stwierdziła panna Marple wesoło.

— Jak dobrze, że wróciłaś, kochanie — powiedział wielebny Julian Harmon, witając żonę serdecznie. Westchnął zadowolony. — Pani Burt bardzo się stara, kiedy cię nie ma, ale na lunch podała mi bardzo dziwne rybne paluszki. Nie chciałem zranić jej uczuć, więc dałem je Pileserowi, lecz nawet on ich nie chciał. Musiałem wyrzucić je za okno.

— Tiglath Pileser — zauważyła Bunch, głaszcząc mruczącego przy jej nodze kota — jest bardzo wybredny, jeśli chodzi o ryby. Często mu powtarzam, że ma arystokratyczny żołądek.

— A jak z twoim zębem, moja droga? Wyleczony?

— Tak — odparła Bunch. — Odwiedziłam znowu ciocię Jane...

— Kochana staruszka — powiedział Julian. — Mam nadzieję, że nie traci sił.

— Ani trochę — stwierdziła Bunch z uśmiechem. Następnego ranka Bunch zaniosiła do kościoła świeże chryzantemy. Promienie słońca znów wpadały przez wschodnie okno. Bunch stanęła w barwnym świetle rozjaśniającym schody prezbiterium. Wyszeptała ciepło:

— Twoja mała córeczka będzie miała się dobrze. Dopilnuję tego, obiecuję.

Ułożyła kwiaty i na koniec uklękła w ławce, by zmówić modlitwę przed powrotem na plebanię. Czekają ją mnóstwo obowiązków, zaniedbanych przez ostatnie dwa dni.

# Dziwny żart\*

— A oto panna Marple! — powiedziała Jane Helier, kończąc prezentację gości.

Jane była aktorką i doskonale wiedziała, jak wywrzeć wrażenie na swoich widzach. To miał być najważniejszy punkt programu, wielki finał. Jej głos zabarwiony był równą dozą pełnego bojaźni szacunku i triumfu.

Dziwiło jedynie, że osoba zapowiedziana z taką pompą okazała się dobroduszną, leciwą starą panną, w tej chwili nieco zakłopotaną. W oczach dwojga młodych ludzi, dla których Jane przygotowała swój występ, pojawiło się niedowierzanie i konsternacja. Wyglądali sympatycznie. Szczupła i ciemnowłosa dziewczyna nazywała się Charmian Stroud, a jasnowłosa, przyjaźnie nastawiony do świata olbrzym nosił nazwisko Edward Rossiter. Charmian przemówiła pierwsza, jękając się lekko:

— Och! Miło nam panią poznać — jej wzrok wyrażał powątpiewanie. Rzuciła szybkie, pytające spojrzenie na Jane Helier.

— Kochanie — odezwała się Jane, odpowiadając na nieme pytanie młodej dziewczyny — ona jest wprost cudowna. Na pewno wam pomoże. Powiedziałam, że ją tu sprowadzę, i udało się.

Zwróciła się do panny Marple:

— Wiem, że pani to załatwi. Dla pani to nic trudnego.

Panna Marple skierowała swe łagodne, jasnobłękitne oczy na pana Rossitera.

— Nie powie mi pan — spytała — o co chodzi?

— Jane jest naszą przyjaciółką — wtrąciła się niecierpliwie Charmian. — Wpadliśmy z Edwardem w tarapaty. Jane powiedziała, że jeśli zjawimy się na jej przyjęciu, przedstawi nas komuś, kto mógłby... potrafiłby...

Edward pośpieszył jej na ratunek.

— Jane powiedziała nam, że jest pani najlepszym detektywem, panno Marple!

Starsza pani zamrugnęła oczami i zaprotestowała skromnie:

— Ależ skąd! To nie tak. Po prostu, jeśli żyje się, tak jak ja, w małej wiosce, można dobrze poznać ludzką naturę. W każdym razie zaciekawiliście mnie. Co właściwie się stało?

— Obawiam się, że nasz problem jest straszliwie banalny. Chodzi po prostu o zakopane skarby —

powiedział Edward.

— Naprawdę? Ależ to brzmi ekscytująco!

— Wiem. Jak *Wyspa Skarbów*. Tyle że nasza sprawa nie jest tak romantyczna. Nie ma w niej punktu na mapie oznaczonego trupa czaszką i piszczelami ani wskazówek typu „cztery kroki w lewo na północny zachód”. Jest wręcz przeraźliwie prozaiczna. Po prostu nie wiemy, gdzie kopać.

— A próbowaliście już?

— Przekopaliśmy ze dwa akry! Można by tam założyć ogród warzywny. Właśnie zastanawiamy się, czy sadzić dynie, czy ziemniaki.

Charmian przerwała mu gwałtownie:

— Naprawdę możemy o tym opowiedzieć?

— Oczywiście, kochanie.

— Znajdźmy sobie jakiś spokojny kąt. Chodź, Edwardzie.

Wyprowadziła ich z zatłoczonego i zadymionego pokoju. Weszli po schodach do małego saloniku na drugim piętrze.

Kiedy usiedli, Charmian zaczęła energicznie:

— Sprawa wygląda następująco: Wszystko zaczęło się od wuja Mathew, naszego wspólnego stryja, a właściwie stryjecznego pradziadka. Był bardzo stary i nie miał innych krewnych oprócz mnie i Edwarda. Lubił nas i zawsze powtarzał, że zostawi nam swoje pieniądze. Zmarł w zeszłym roku w marcu. Cały majątek zapisał mnie i Edwardowi do podziału. To, co powiedziałam, brzmi dość gruboskórnie, ale nie znaczy wcale, że cieszę się z jego śmierci. Bardzo go lubiliśmy, lecz wuj już od dawna chorował. Problem w tym, że właściwie nic nie zostawił. A to, szczerze mówiąc, było dla nas dotkliwym ciosem, prawda, Edwardzie?

Edward pokiwał głową.

— Widzi pani — zaczął — liczyliśmy na ten spadek. Kiedy człowiek wie, że otrzyma spory majątek, nie... nie wysila się, by go zdobyć samodzielnie. Ja służę w wojsku żyję z gołej pensji, a Charmian nie ma ani grosza. Jest reżyserem w teatrze objazdowym. To interesująca praca, Charmian bardzo ją lubi, ale nie sposób się z niej utrzymać. Chcemy się pobrać. Nie martwiliśmy się nigdy o pieniądze, bo oboje wiedzieliśmy, że pewnego dnia będziemy bogaci.

— A teraz okazuje się — wtrąciła Charmian — że wcale nie jesteśmy! Co więcej, prawdopodobnie trzeba będzie sprzedać Ansteys, rodzinną posiadłość, którą oboje kochamy. Trudno nam się z tym pogodzić, ale jeśli nie znajdziemy pieniędzy wuja Mathew, nie damy rady jej utrzymać.

— Wciąż nie doszliśmy do najważniejszego punktu, Charmian — zauważył Edward. — To

opowiadaj dalej.

Edward zwrócił się do panny Marple. — Wraz z wiekiem wuj robił się coraz bardziej podejrzliwy. Nikomu nie ufał.

— Bardzo mądrze z jego strony — oceniła panna Marple. — Ludzka natura potrafi być nieprawdopodobnie zdeprawowana.

— Może i ma pani rację. W każdym razie wuj Mathew tak właśnie uważał. Jeden z jego przyjaciół stracił pieniądze w banku, a innego prawnik doprowadził do ruiny, a potem zwiął. Wuj sam stracił trochę pieniędzy w nieuczciwej firmie. Odtąd utrzymywał, że jedynym bezpiecznym i rozsądnym sposobem jest kupić sztaby złota i zakopać.

— Ach tak — wtrąciła panna Marple. — Zaczynam rozumieć.

— Właśnie. Przyjaciele sprzeczekali się z nim, tłumaczyli, że traci procent, ale wuj twierdził, że to nie ma większego znaczenia. Powtarzał, że całą kwotę należy „trzymać w pudle pod łóżkiem albo zakopać w ogrodzie”. To jego własne słowa.

Charmian podjęła wątek:

— Nie zostawił prawie żadnych papierów wartościowych, chociaż był bardzo bogaty. Przypuszczamy więc, że pieniądze gdzieś ukrył.

— Odkryliśmy, że sprzedał akcje — wyjaśnił Edward — i wycofał wszystkie oszczędności z banku. Nikt nie wie, co z nimi zrobił. Całkiem możliwe, że postąpił według swoich zasad i naprawdę kupił złoto i zakopał.

— Nie zdradził nic przed śmiercią? Nie zostawił żadnego listu?

— Nie. I to jest najgorsze. Przez parę dni leżał nieprzytomny. Ocknął się tuż przed śmiercią, spojrzał na nas i zachichotał. Cicho, z trudem. Potem powiedział:

„Będzie się wam dobrze wiodło, moje gołąbki”. Dotknął palcem prawej powieki i mrugnął okiem. A potem umarł. Biedny, stary wuj Mathew.

— Dotknął palcem powieki — powtórzyła z namysłem panna Marple.

Edward spytał niecierpliwie:

— Czy to coś pani mówi? Mnie kojarzy się z opowiadaniem o Arsenie Lupin, z tym o skarbie ukrytym w szklanym oku. Ale wuj nie miał sztucznego oka.

Panna Marple potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. W tej chwili nic nie przychodzi mi na myśl. Charmian, rozczarowana, rzuciła:

— A Jane mówiła, że pani natychmiast wskaże, gdzie kopać!

Panna Marple uśmiechnęła się.

— Nie jestem wróżką, kochanie. Nie znałam waszego wuja. Nie wiem, jaki miał charakter, nigdy nie widziałam jego domu ani reszty posiadłości.

— A jeśli by je pani zobaczyła? — spytała Charmian.

— W takim wypadku zagadka byłaby prosta, prawda?

— Prosta! — wykrzyknęła Charmian. — Niech pani przyjedzie do Ansteys i przekonaj się, czy to takie proste!

Możliwe, że nie myślała poważnie o zaproszeniu, lecz panna Marple powiedziała żywo:

— Bardzo to miło z twojej strony, kochanie. Zawsze marzyłam o szukaniu zakopanych skarbów. I to jeszcze takich — dodała, patrząc na nich z niewinnym uśmiechem — z którymi wiąże się miłość.

— No i sama pani widzi! — powiedziała Charmian, rozkładając teatralnie ręce.

Właśnie zakończyli wycieczkę po posiadłości. Obejrzeliby gruntownie przekopany ogród warzywny. Przeszli się laskiem, gdzie obkopano każde większe drzewo. Ze smutkiem przyjrzyli się niegdyś gładkiemu trawnikowi, teraz usianemu wzgórkami ziemi. Weszli na strych pełen wywróconych do góry dnem starych skrzyń i kufrów. Byli w piwnicach, gdzie kamienne płyty z trudem wyrwano z cementu. Zmierzyli i opukali ściany. Pannie Marple pokazano wszystkie antyki, które mogłyby zawierać tajne skrytki.

Na stole w pokoju śniadaniowym leżał stos papierów. Były to wszystkie dokumenty, jakie pozostawił po sobie zmarły Mathew Stroud. Niczego nie zniszczono. Charmian i Edward przeglądali je co kilka dni, wertując uważnie rachunki, zaproszenia i korespondencję handlową w nadziei, że znajdą tam przeoczoną wcześniej wskazówkę.

— Gdzie jeszcze moglibyśmy zajrzeć? Ma pani jakiś pomysł? — spytała z nadzieją Charmian.

Panna Marple potrząsnęła przecząco głową.

— Byliście bardzo dokładni, kochanie. Może nawet, jeśli mogę zauważyć, aż za bardzo. Zawsze uważałam, że najważniejszy jest plan. To mi przypomina historię mojej znajomej, pani Eldritch. Miała miłą pokojówkę, wprost świetnie czyściła posadzki. Była bardzo dokładna i trochę za często polerowała podłogę w łazience. Raz, kiedy pani Eldritch wychodziła z wanny, korkowa mata wysliznęła jej się spod stóp; upadła tak nieszczęśliwie, że złamała sobie nogę. Drzwi łazienki były oczywiście zamknięte, więc ogrodnik musiał przystawić drabinę i wejść przez okno. Było to okropnie krępujące dla pani Eldritch, osoby bardzo skromnej i wstydlivej.

Edward poruszył się niecierpliwie.

— Och, wybaczcie mi — powiedziała natychmiast panna Marple. — Często zbaczam z tematu. Ale jedna sprawa zwykle przywodzi na myśl drugą. Czasami to pomaga. Chodziło mi jedynie o to, że jeśli spróbujemy się skupić i zastanowić nad prawdopodobnym miejscem...

Edward przerwał jej z irytacją:

— To pani się skupi, panno Marple. Nasze mózgi są już kompletnie puste.

— Och, mój Boże. To rzeczywiście musiało być dla was męczące. Jeśli się zgodzicie, przejrzę to wszystko — wskazała leżące na stole kartki. — O ile nie ma w nich nic prywatnego. Nie chciałabym być wścibska.

— Ależ skąd. Chociaż obawiam się, że nic pani nie znajdzie.

Panna Marple usiadła przy stole i zaczęła metodycznie przeglądać stos dokumentów. Odkładając na bok przeczytane kurtki, automatycznie dzieliła je na schludne kupki. Kiedy skończyła, na chwilę zapatrzyła się przed siebie.

— I co, panno Marple? — zapytał Edward, trochę złośliwie.

Panna Marple raptownie powróciła myślami do rzeczywistości.

— Przepraszam was. Bardzo mi to pomogło.

— Znalazła pani coś istotnego?

— Nie, nic takiego. Ale teraz wiem już, jakiego rodzaju człowiekiem był wuj Mathew. Trochę przypomina mojego wujka Henry'ego. Lubił raczej oczywiste żarty. Był starym kawalerem. Ciekawe, dlaczego. Może jakieś rozczarowanie w młodości? Metodyczny, ale nie chciał się z nikim wiązać. Zresztą niewielu kawalerów ma na to ochotę.

Charmian dała znak Edwardowi za plecami panny Marple. Miał znaczyć: „Pomieszało się jej w głowie”.

Panna Marple radośnie ciągnęła opowieść o wuju Henry'm.

— Uwielbiał słowne żarty. Niektórych wyprowadza to z równowagi. Cóż, rzeczywiście gra słów może być irytująca. Był też bardzo podejrzliwy. Uważał, że służba go okrada. Zdarzało się to czasami, oczywiście, ale przecież nie bez przerwy. Biedak, czuł się coraz gorzej. Pod koniec życia podejrzewał, że podają mu zatrute jedzenie i odmówił przyjmowania czegokolwiek poza gotowanymi jajkami. Mówił, że nikt nic może dobrać się do jajka w skorupce. Drogi wujek Henry, dawniej był takim wesołym człowiekiem... Uwielbiał poobiednią kawę, „To kawa firmy Więcej” — mawiał. To miało znaczyć, że prosi o dolewkę.

Edward poczuł, że oszaleje, jeśli usłyszy coś jeszcze o wuju Henrym.



— Lubił młodzież — ciągnęła panna Marple — ale chętnie się z nią drażnił, jeśli jasno się wyrażam. Kładł torebki ze słodyczami tam, gdzie dziecko nie mogło dosięgnąć.

Charmian odezwała się, rezygnując z uprzejmości:

— Musiał być okropny!

— Ależ nie, kochanie. Był po prostu starym kawalerem, nie przywykł do dzieci. Naprawdę nie był głupi. Trzymał spore sumy pieniędzy w domu, w sejfie. Robił wokół niego sporo zamieszania. Opowiadał, jakie to doskonałe zabezpieczenie. Ponieważ mówił tak dużo, pewnej nocy do domu włamali się złodzieje i jakimś chemicznym środkiem wypalili dziurę w sejfie.

— Należało mu się — zauważył Edward.

— Ale w sejfie nic nie było — powiedziała panna Marple. — Widzicie, naprawdę trzymał pieniądze gdzie indziej. Za tomami kazań w bibliotece, jeśli już o tym mowa. Powtarzał, że takiej książki nikt z półki nie weźmie,

Edward wtrącił się, podekscytowany:

— To dobry pomysł. Co z naszą biblioteką?

Ale Charmian potrząsnęła głową z pogardą.

— Myślisz, że na to nie wpadłam? Przejrzałam wszystkie książki w zeszły wtorek, kiedy ty pojechałeś do Portsmouth. Wyjęłam każdą i wytrząsnęłam. Nic w nich nie było.

Edward westchnął. Wstał, zdecydowany wyprosić uprzejmie gościa, który ich tak rozczarował.

— To bardzo miło z pani strony, że przyjechała pani do nas i usiłowała nam pomóc. Szkoda, że nic z tego nie wyszło. Mam wrażenie, że zmarnowaliśmy pani czas. Wyprowadzę samochód, zdąży pani złapać pociąg o trzeciej trzydzieści...

— Och, ale musimy przecież znaleźć pieniądze, prawda? — powiedziała panna Marple. — Nie wolno się poddawać, panie Rossiter. Jeśli raz ci się nie powiedzie, próbuj od nowa.

— To znaczy, że chce pani dalej... dalej szukać?

— Ściśle mówiąc, jeszcze nie zaczęłam — odparła panna Marple. — „Najpierw złap zająca”, jak podaje pani Beaton w swojej książce kucharskiej... Wspaniała książka, ale bardzo droga. Większość przepisów zaczyna się od „Weź kwartę śmietany i tuzin jaj”. O czym to ja mówiłam? A tak. No cóż, złapaliśmy już naszego zająca. Zając to oczywiście wasz wuj Mathew. Teraz pozostaje nam tylko zdecydować, gdzie mógł ukryć pieniądze. To powinno być całkiem proste.

— Proste? — spytała Charmian.

— Ależ tak, kochanie. Jestem pewna, że wasz wuj wybrał bardzo oczywisty schowek. Moim

zdaniem sekretną szufladę.

Edward stwierdził sucho:

— Nie można schować sztab złota w sekretnej szufladzie.

— Oczywiście, że nie. Ale nie ma powodu wierzyć, że chodzi o złoto.

— Zawsze mówił...

— Tak jak mój wuj Henry o sejfie! Podejrzewam, że ta historyjka miała tylko zamydlić oczy. Diamenty zmieściłyby się w szufladzie. — Ale my sprawdziliśmy wszystkie tajne skrytki. Opłaciliśmy stolarza, żeby zbadał meble.

— Zrobiliście to? Bardzo mądrze z waszej strony. Sugerowałabym, że najbardziej prawdopodobnym miejscem jest biurko waszego wuja. Czy to ten wysoki sekretarzyk przy ścianie?

— Tak. Pokaże pani.

Charmian podeszła do biurka. Podniosła klapę. Pod nią znajdowały się przegródki i szuflady. Otworzyła małe drzwiczki w środku i nacisnęła sprężynę w szufladzie po lewej. Dno schowka wysunęło się ze szczykiem. Charmian wyciągnęła je, odsłaniając niewielką wnękę pod spodem. Była pusta.

— Czy to nie zbieg okoliczności? — wykrzyknęła panna Marple. — Wuj Henry miał takie samo biurko, tylko z orzecha, a nie z mahoni.

— W każdym razie — zauważyła Charmian — nie tu nie ma, jak sama pani widzi.

— Wasz stolarz musiał być młodym człowiekiem — powiedziała panna Marple. — Nie wiedział o wszystkim. W tamtych czasach ludzie byli bardzo przebiegli, jeśli chodzi o skrytki. Istniało coś takiego jak skrytka w skrytce.

Wyjęła wsuwkę ze starannie upiętych w kok siwych włosów. Wprostowała ją i wetknęła czubek w coś, co wyglądało jak dziurka po kornikach, widoczna z boku schowka. Z niejakim trudem wyciągnęła małą szufladę. Leżał w niej stos wyblakłych listów i złożona kartka papieru.

Edward i Charmian równocześnie rzucili się na znalezisko. Drżącymi palcami Edward rozłożył kartkę, ale natychmiast upuścił ją z okrzykiem pełnym odrazy.

— Jakiś cholerny przepis. Pieczona wieprzowina! Charmian rozsupływała wstążkę, którą obwiązano listy. Wyciągnęła jeden i oceniła go wzrokiem.

— Listy miłosne.

Panna Marple zareagowała isticie po wiktoriańsku.

— Ależ to ekscytujące! Może to powód, dla którego wasz wuj nigdy się nie ożenił?

Charmian odczytała na głos:

*Mój najdroższy Mathew! Muszę wyznać, że bardzo dłużył mi się czas, jaki minął od Twego ostatniego listu. Próbuje zająć się rozlicznymi obowiązkami, które mi wyznaczono, i często sobie powtarzam, jak wielkie miałam szczęście, mogąc zwiedzić tyle świata. Choć wyjeżdżając do Ameryki nie sądziłam, że trafię aż na te odległe wyspy!*

Charmian urwała,

— Skąd jest ten list? Och! Z Hawajów. Wróciła do czytania.

*Tubylcy mają jeszcze przed sobą daleką drogę ku oświeceniu. To dzikusy chodzące bez odzienia, a większość czasu spędzają pływając i tańcząc, przystrojeni w girlandy kwiatów. Pan Gray nawrócił kilku, lecz to syzyfowa praca i oboje z panią Gray tracą już zapał. Robię, co mogę, by rozweselić go i wesprzeć, lecz i ja popadam w smutek z powodów, których Ty, drogi Mathew, możesz się domyślić. Cóż, rozłąka to ciężka próba dla kochającego serca. Twe ponowione przysięgi i wyrazy serdecznych uczuć sprawiły mi wielką radość. Teraz i na zawsze masz me wierne i oddane serce, Najdroższy, a ja pozostaję Twoją wierną miłością. Betty Martin.*

*PS: Jak zwykle adresuję kopertę do naszej wspólnej przyjaciółki, Matildy Graves. Mam nadzieję, że Niebiosy wybaczą mi to małe oszustwo. Edward gwizdnął przez zęby.*

— Misjonarka! Więc taki był romans wuja Mathew. Ciekawe, dlaczego nigdy się nie pobrali.

— Wygląda na to, że ona objechała cały świat — zauważyła Charmian, przeglądając listy. — Mauritius i tak dalej. Pewnie zmarła na żółtą febrę albo cholerę.

Podskoczyli, kiedy dobiegł ich łagodny śmiech. Panna Marple była wyraźnie rozbawiona.

— No proszę — powiedziała. — A to dopiero! Trzymała w ręku przepis na pieczoną wieprzowinę.

Dostrzegając ich pytające spojrzenia, odczytała głośno:

*Wieprzowina ze szpinakiem. Wziąć ładny kawałek udźca wieprzowego, przyprawić goździkami i obtoczyć w brązowym cukrze. Piec na wolnym ogniu. Podawać z ułożonym wokół purée ze szpinaku.*

— I co teraz o tym sądzicie?

— Brzmi ohydnie — orzekł Edward.

— Nie, nie. W rzeczywistości to całkiem smaczne. Pytam, co sądzicie o całej sprawie?

Twarz Edwarda rozjaśnił nagle promień światła.

— Uważa pani, że to szyfr? Zakodowana wiadomość? Pochwyił kartkę.

— Spójrz, Charmian, to całkiem możliwe! Inaczej chowanie kuchennego przepisu w tajnej szufladzie nie miałyby sensu!

— Rzeczywiście — powiedziała panna Marple. — To bardzo znaczące.

— Wiem, co to może być — rzuciła Charmian. — Niewidzialny atrament! Ogrzejmy list. Włącz piecyk.

Edward zrobił to, ale na kartce papieru nie pojawił się bodaj ślad pisma.

Panna Marple zakaszłała.

Wydaje mi się, że niepotrzebnie to komplikujecie. Przepis to tylko wskazówka. Według mnie naprawdę ważne są listy.

— Listy? Zwłaszcza podpis.

Lecz Edward prawie jej nie słuchał. Zawołał z podnieceniem:

Charmian! Chodź tu. Ona ma rację. Popatrz: koperty są stare, ale listy napisano dużo później.

Właśnie — powiedziała panna Marple. — Tylko udają stare. Daję głowę, że stary wujek Mathew sam je napisał.

Oczywiście — odezwała się panna Marple.

Cała sprawa to zwyczajny kant. Żadna misjonarka nigdy nie istniała. To na pewno szyfr.

— Moje drogie dzieci, naprawdę nie ma potrzeby tak tego komplikować. Wasz wuj był bardzo prostym człowiekiem. Lubił tylko zażartować.

Po raz pierwszy poświęcili jej całą swoją uwagę.

— O czym pani właściwie mówi, panno Marple? — spyiała Charmian.

Mówię o tym. Kochanie, że pieniądze trzymasz w tej chwili w swojej dłoni. Charmian spojrzała na listy.

— Podpis, moja droga. To wyjaśnia cały sekret. Przepis jest po prostu wskazówką. Odejmuje goździki i brązowy cukier, co nam pozostaje? Ależ oczywiście, wieprzowina ze szpinakiem! A to znaczy: nonsens! Jasne więc, że to listy są ważne. A teraz weźcie pod uwagę, co wasz wuj zrobił przed śmiercią. Popukał się palcem w oko. To wasza wskazówka.

— Czy pani oszalała? — rzuciła Charmian.

— Na pewno słyszałaś, moja droga, określenie oznaczające coś, co nie jest prawdziwe albo stało się zupełnie nieaktualne? „Całe moje oko i Betty Martin”. Edward odetchnął gwałtownie, a jego oczy powędrowały ku listom.

— Betty Martin — powtórzył.

— Oczywiście, panie Rossiter. Jak sam pan powiedział, taka osoba nigdy nie istniała. Listy napisał wasz wuj. Jestem pewna, że świetnie się przy tym bawił. Jak zauważyliście, pismo na kopertach jest dużo starsze. Koperty nie mogą mieć nic wspólnego z listami, bo na tej, którą pan trzyma, jest pieczętka z datą: rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty pierwszy.

Urwała. Powtórzyła z naciskiem:

— Tysiąc osiemset pięćdziesiąty pierwszy. A to wyjaśnia wszystko, prawda?

— Nie mnie.

— Cóż, oczywiście. Jestem pewna, że i mnie niewiele by to mówiło, gdyby nie mój stryjeczny wnuk Lionel. Kochany chłopiec. Kolekcjonuje znaczki i wie o nich wszystko. On właśnie opowiedział mi o rzadkich i cennych markach i o tym, że na aukcję trafił jakiś unikat. Pamiętam, że wspominał o jednym znaczku: niebieskiej dwupensówce z roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego. Była warta około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Jak sądzę, pozostałe marki są równie rzadkie i cenne. Bez wątpienia wasz wuj kupował je przez pośredników i starannie „zacierał ślady”, jak piszą w kryminałach.

Edward jęknął. Usiadł i schował twarz w dłoniach.

— O co ci chodzi? — spytała Charmian.

— O nic. Pomyślałem sobie tylko, że gdyby nie panna Marple, mogliśmy spalić te listy z czystej przyzwoitości!

— Aha — przytaknęła panna Marple. — Tego właśnie nigdy nie uświadamiają sobie .ci starzy dżentelmeni lubiący pożartować. Pamiętam, że na Boże Narodzenie wuj Henry wysłał swojej ulubionej siostrzenicy pięciofuntowy banknot. Włożył go między strony świątecznej kartki, potem

skleił je i napisał na wierzchu: „Z najlepszymi życzeniami. Obawiam się, że to wszystko, na co mnie stać w tym roku”. Biedna dziewczynka, była zła, że wuj okazał się taki skąpy i wrzuciła kartkę do kominka. Później wuj musiał oczywiście wysłać jej drugi banknot.

Uczucia Edwarda do wuja Henry’ego przeszły nagłą i całkowitą przemianę.

— Panno Marple — powiedział — idę po butelkę szampana. Wypijemy za zdrowie pani wuja.

# Narzędzie zbrodni

Panna Politt chwyciła za kołatkę i delikatnie zastukała w drzwi domku. Po krótkiej przerwie zastukała ponownie. Paczka pod jej lewym ramieniem przekrzywiła się przy tym trochę, więc ją poprawiła. W środku znajdowała się nowa zimowa suknia pani Spenlow, gotowa do przymiarki. Z lewej ręki panny Politt zwisał czarny jedwabny woreczek, zawierający miarkę krawiecką, poduszkę ze szpilkami i duże, poręczne nożyce.

Panna Politt była wysoka, chuda, miała ostry nos, zaciśnięte usta i rzadkie, stalowosiwe włosy. Zawahała się, zanim zastukała po raz trzeci. Spojrzała w dół ulicy i dostrzegła zbliżającą się szybko postać. Panna Hartnell, czerstwa, pięćdziesięciopięcioletnia kobieta wesołego usposobienia, zawołała donośnym basem:

— Dzień dobry, panno Politt! Krawcowa odpowiedziała:

— Dzień dobry, panno Hartnell. Mówiła wysokim, dystygowanym tonem. Karierę zawodową zaczynała jako pokojówka zamożnej damy.

— Przepraszam panią — ciągnęła — ale może wie pani przypadkiem, czy pani Spenlow jest w domu?

— Nie mam zielonego pojęcia — odparła zapytana.

— Sytuacja jest dość niezręczna. Umówiłam się z panią Spenlow na przymiarkę nowej sukni o trzeciej trzydzieści.

Panna Hartnell sprawdziła godzinę na swoim zegarku.

— Jest już parę minut po czasie.

— Właśnie. Pukałam trzy razy, ale nikt nie odpowiada. Zastanawiałam się, czy pani Spenlow mogła zapomnieć o przymiarce i wyjść. Z reguły o tym nie zapomina, a tę suknię chciała włożyć pojutrze.

Panna Hartnell otworzyła furtkę i podeszła ścieżką do stojącej na progu Laburnum Cottage panny Politt.

— Dlaczego Gladys nie otwiera? — rzuciła. — Ależ tak, oczywiście: w czwartki ma wychodne. Na pewno pani Spenlow zasnęła. Za słabo pani stukała.

Chwyciła kołatkę i uderzyła nią w drzwi. Rozległ się ogłuszający łomot. Panna Hartnell, której to nie zadowoliło, walnęła jeszcze pięścią i zawołała donośnym głosem:

— Hej, jest tam kto? Odpowiedź, niestety, nie padła. Panna Politt mruknęła:

— Myślę, że pani Spenlow zapomniała i wyszła. Zajrzę do niej innym razem — zaczęła wycofywać się wzdłuż ścieżki.

— Bzdura — orzekła zdecydowanie panna Hartnell. — Nie mogła wyjść. Widziałabym ją. Zerknę przez okno i sprawdzę, czy nie ma jakichś śladów życia.

Roześmiała się serdecznie, by zaznaczyć, że żartuje, i zajrzała przez najbliższą szybę. Wiedziała, że rzadko używano pokoju od frontu. Państwo Spenlow woleli mały salonik na tyłach domu.

A jednak panna Hartnell coś zobaczyła. Dokładnie tak jak powiedziała: żadnych śladów życia. Wręcz przeciwnie. Przez okno było widać panią Spenlow leżącą na dywaniku przed kominkiem. Martwą.

— Oczywiście — mówiła panna Hartnell, komentując później zdarzenie — nie straciłam głowy. Ta biedaczka Politt nie miałaby pojęcia, co robić. „Nie wolno nam stracić głowy” — tak jej powiedziałam. „Pani zostanie tutaj, a ja pójdę po posterunkowego Pałka”. Protestowała trochę, mówiąc, że nie chce zostać sama, ale nie zwracałam na nią uwagi. Trzeba być twardym z takimi ludźmi. Zawsze lubią robić wokół siebie zamieszanie. Właśnie odchodziłam, kiedy zza rogu domu wyszedł pan Spenlow.

Tu panna Hartnell robiła znaczącą pauzę, co pozwalało jej kolejnej słuchaczce rzucić bez tchu:

— I jak wyglądał?

Panna Hartnell przystępowała do odpowiedzi:

— Mówiąc szczerze, od razu zaczęłam coś podejrzewać! Był za bardzo spokojny. Nawet się nie zdziwił. Mów, co chcesz, ale to nienormalne, żeby mężczyzna na wieść o śmierci żony nie okazał żadnych emocji.

Każdy zgadzał się z tym stwierdzeniem.

Nawet policja. Uznali obojętność pana Spenlowa za tak podejrzaną, że nie tracąc czasu sprawdzili, w jakiej sytuacji stawała go śmierć żony. Kiedy odkryli, że pani Spenlow miała własne fundusze, które zgodnie z testamentem spisany wkrótce po ślubie przechodziły po jej śmierci na rzecz męża — stali się jeszcze bardziej podejrzliwi.

Panna Marple, wiekowa stara panna o przemiłej twarzy i — według niektórych — ostrym języku, mieszkała w domu obok probostwa. Przesłuchano ją już w pół godziny po odkryciu zbrodni. Rozmowę przeprowadził posterunkowy Palk, z ważną miną otworzywszy notes.

— Jeśli pani pozwoli, miałbym kilka pytań — zaczął.

— Chodzi o zamordowanie pani Spenlow? — spytała panna Marple.

Palk był zaskoczony.



— Czy mogę zapytać, skąd się pani dowiedziała?

— Ryba — wyjaśniła panna Marple.

Dla posterunkowego Palka była to zupełnie jasna odpowiedź. Zrozumiał, że wiadomość przyniósł razem z wieczornym posiłkiem panny Marple chłopiec ze sklepu rybnego.

Starsza dama ciągnęła łagodnie:

— Leżała na podłodze w salonie. Uduszono ją prawdopodobnie jakimś cienkim paskiem. Zresztą, cokolwiek to było, zniknęło.

Palk był zagniewany.

— Jakim cudem ten chłopak Fred zawsze wszystko wie? Panna Marple przerwała mu zrećźnie.

— Ma pan szpilkę w klapie — zauważyła. Posterunkowy Palk zerknął w dół, zaskoczony.

— Jest takie powiedzonko — odezwał się — „Znajdziesz szpilkę, a cały dzień będzie szczęśliwy”.

— Mam nadzieję, że to się spełni. Co takiego chciał mi pan powiedzieć?

Policjant odchrząknął, zrobił ważną minę i sprawdził . notatkę w swoim notesie.

— Pan Arthur Spenlow, mąż zmarłej, złożył następujące zeznanie. O drugiej trzydzieści zadzwoniła do niego panna Marple i poprosiła, by przyszedł do niej piętnaście po trzeciej, ponieważ potrzebuje jego rady. Może to pani potwierdzić? .

— W żadnym wypadku — odparła panna Marple.

— Nie dzwoniła pani do pana Spenlowa o drugiej trzydzieści?

— Ani o tej, ani o żadnej innej godzinie.

— Ach tak — podsumował posterunkowy i z satysfakcją przygryzł wąsa.

— Co jeszcze mówił pan Spenlow?

— Że przybył tu zgodnie z pani życzeniem. Wyszedł z domu dziesięć po trzeciej. Na miejscu służąca poinformowała go, że „panna Marple wyszła”.

— To się zgadza — przyznała panna Marple. — Był tutaj, ale ja poszłam na spotkanie do Klubu Kobiet. — Ach tak.

— Proszę mi powiedzieć, czy naprawdę podejrzewa pan pana Spenlowa? — rzuciła z napięciem w głosie.

— Za wcześnie jeszcze na takie twierdzenia. Ale wygląda mi na to, że ktoś, nie wymieniając

żadnych nazwisk, próbuje być bardzo przebiegły.

— Pan Spenlow? — spytała panna Marple, zamyślona. Lubiła pana Spenlowa. Był to mały, oszczędny człowieczek, sztywny i konwencjonalny w rozmowie. Szczyt uczciwości. Dziwne, że zamieszkał na wsi, ponieważ całe życie spędził w mieście. Zwierzył się kiedyś panie Marple: „Już jako mały chłopiec zamierzałem osiąść pewnego dnia na wsi i założyć własny ogród. Zawsze lubiłem kwiaty. Wie pani, moja żona miała kwiaciarnię. Tam ją po raz pierwszy ujrzałem”.

Brzmiało to sucho, ale sugerowało romantyczną historię. Młodsza, ładniejsza pani Spenlow na tle kwiatów.

Jednakże pan Spenlow wiedział o nich niewiele. Nie miał pojęcia o nasionach, sadzonkach, przesadzaniu, roślinach jednorocznych i bylinach. Miał jedynie wizję — wizję małej chatki z ogrodem zarośniętym słodko pachnącymi, barwnymi kwiatami. Był niemal wzruszający, kiedy prosił o instrukcje, a odpowiedzi panny Marple notował w małej książeczce.

Spokojny i metodyczny człowiek. Może właśnie dlatego tak bardzo zainteresował policję. Cierpliwie i wytrwale szukali informacji o zmarłej i stopniowo coraz więcej o niej wiedzieli. Podobnie jak i całe St Mary Mead.

Pani Spenlow zaczęła pracę jako pomocnica kucharki w dużym domu. Opuściła posadę, by poślubić drugiego ogrodnika. Wspólnie założyli w Londynie kwiaciarnię. Prosperowała świetnie, w przeciwieństwie do ogrodnika, który szybko rozchorował się i zmarł.

Wdowa samodzielnie prowadziła sklep, rozszerzając działalność. Nadal odnosiła sukcesy. Wreszcie sprzedała kwiaciarnię za przyzwoitą cenę i ponownie wyszła za mąż, tym razem za pana Spenlowa, jubilera w średnim wieku, który odziedziczył małą, borykającą się z kłopotami firmę. Wkrótce ją sprzedali i osiedlili się w St Mary Mead.

Pani Spenlow była zamożna. Zyski z kwiaciarni zainwestowała „za radą duchów”, jak wyjaśniała wszystkim. Duchy doradziły jej zaskakująco dobrze.

Inwestycje procentowały, niektóre wręcz zaskakująco wysoko. Mimo iż powinno to ugruntować wiarę pani Spenlow w świat nadprzyrodzony, zerwała z mediami i wywoływaniem duchów. Na krótko, lecz całym sercem oddała się jakiejś religii o hinduskich korzeniach, opartej na różnorodnych sposobach głębokiego oddychania. Po przyjeździe do St Mary Mead wstąpiła do ortodoksyjnego kościoła anglikańskiego. Często wpadała na probostwo i sumiennie uczęszczała na nabożeństwa. Była stałą klientką miejscowych sklepów, interesowała się wydarzeniami w wiosce, grywała w brydża.

Monotonne, zwyczajne życie. I nagle — morderstwo.

Pułkownik Melchett, okręgowy komisarz policji, wezwał do siebie inspektora Slacka.

Slack był człowiekiem stanowczym. Kiedy coś sobie postanowił, trzymał się tego do końca. Tak

jak i tym razem.

— Winny jest mąż — stwierdził.

— Tak sądzicie?

— Jestem pewien. Wystarczy na niego spojrzeć. Winny jak diabli. Nie okazał śladu żalu, żadnych uczuć. Wrócił do domu wiedząc, że żona nie żyje.

— Czy nie próbowałby przynajmniej odegrać roli wytrąconego z równowagi męża? — Nie on. Za bardzo siebie lubi. Niektórzy nie potrafią grać. Są za sztywni.

— Była jakaś druga kobieta w jego życiu? — zapytał pułkownik Melchett.

— Nie trafiłem na żaden ślad. Oczywiście, to spryciarz. Na pewno zatarł ślady. Według mnie miał po prostu dosyć żony. Ona trzymała pieniądze, a pewnie ciężko było z nią wytrzymać. Zawsze znajdowała sobie jakieś jogi i buddyzmy. Z zimną krwią postanowił się jej pozbyć i wreszcie pożyć wygodnie.

— To możliwe.

— Może mi pan wierzyć, tak właśnie było. Starannie sobie to zaplanował. Udał, że odebrał telefon...

Melchett przerwał mu:

— A nikt do niego nie dzwonił?

— Nie. To oznacza, że albo skłamał, albo telefonowano z budki. W wiosce są tylko dwie: na dworcu i na poczcie. Na pewno nikt nie dzwonił z poczty. Pani Blade widzi każdego, kto wejdzie do środka. Może telefonowano z dworca. Pociąg przyjeżdża o drugiej dwadzieścia siedem i jest przy tym trochę zamieszania. Ale rzecz w tym, że według Spenlowa dzwoniła panna Marple, a to nieprawda. Nie telefonowano z jej domu, a ona sama była w Klubie.

— Nie przeoczyliście chyba możliwości, że męża celowo usunięto z domu? Że zrobił to ktoś, kto chciał zamordować panią Spenlow?

— Chyba nie myśli pan o młodym Tedzie Gerardzie? Pracuję nad nim, ale brakuje motywu. Nic nie zyskał na śmierci denatki.

— Lecz mimo to ma paskudny charakter. Zdefraudował pieniądze ze składek.

— Nie mówię, że to nie on. Ale przecież się przyznał. Pastor niczego by się nie domyślił.

— Ted wstąpił do Grupy Oksfordzkiej\* — dorzucił Melchett.

— Zgadza się. Nawrócił się, postanowił postąpić właściwie i przyznał się do oszustwa. Niech pan

tylko pamięta, że to mogła być sprytna sztuczka. Może uznał, iż go podejrzewają, więc zaryzykował i odegrał skruczę.

— Macie bardzo sceptyczne nastawienie, Slack — ocenił pułkownik Melchett. — A tak na marginesie, rozmawialiście z panną Marple?

— A co ona ma z tym wspólnego?

— Właściwie nic. Ale wszystko słyszy, rozumiecie. Może wybieriecie się do niej na pogaduszki? To bardzo bystra dama.

Slack zmienił temat.

— Miałem się pana o jedno zapytać. Chodzi mi o dom sir Roberta Abercrombie, gdzie zmarła pracowała w młodości. Skradziono tam biżuterię. Zniknęły szmaragdy warte grubą forszę. Nigdy ich nie odzyskano. Sprawdziłem to. Żona Spenlowa, wtedy młoda dziewczyna, pracowała u nich w tym czasie. Chyba nie była w to zamieszana? Spenlow należał do tych jubilerów za pensa, wie pan, mógł być paserem.

Melchett potrząsnął głową.

— Raczej nic w tym nie ma. Wówczas nawet go nie znała. Pamiętam tę sprawę. Według policji w kradzież zamieszany był syn, Jim Abercrombie, młody hulaka. Miał długi, a wkrótce po kradzieży wszystkie spłacił. Wspominano o jakiejś bogatej kobiecie. Sam nie wiem. Stary Abercrombie robił trochę trudności, próbował odwołać policję.

— Tak tylko się zastanawiałem — wycofał się Slack.

Panna Marple z zadowoleniem powitała inspektora Slacka, zwłaszcza kiedy usłyszała, że przysłał go pułkownik Melchett.

— To naprawdę miło ze strony pułkownika Melchetta. Nie wiedziałam, że mnie pamięta.

— I to bardzo dobrze. Powiedział mi, że jeśli pani nie wie o czymś, co zdarzyło się w St Mary Mead, to rzecz nie jest warta uwagi.

— Jakie to miłe. Ale ja naprawdę nic nie wiem. To znaczy o tym morderstwie.

— Wie pani, co mówią ludzie.

— No tak, ale przecież nie ma sensu powtarzać pustej gadaniny.

Slack powiedział z przebłyskiem geniuszu:

— Widzi pani, nasze spotkanie nie jest oficjalne. Porozmawiajmy, jakby to rzecz... w zaufaniu.

— To znaczy, że naprawdę chce pan usłyszeć, co mówią ludzie? Czy nie ma w tym nic z prawdy?

— Właśnie.

— No cóż, rzeczywiście sporo plotkowano. Mamy dwa przeciwne obozy, jeśli mnie pan rozumie. Otóż niektórzy uważają, że winny jest mąż. W pewnym sensie mąż czy żona są oczywistymi podejrzanymi, prawda?

— Być może — powiedział ostrożnie inspektor.

— Żyją tak blisko siebie. Dalej mamy pieniądze. O ile wiem, pani Spenlow była bogata; dlatego też mąż skorzysta na jej śmierci. Obawiam się, że na tym podłym świecie najgorsze podejrzenia najczęściej się sprawdzają.

— Rzeczywiście dostanie ładną sumkę.

— No właśnie. Można by przyjąć, że ją udusił, opuścił dom tylnymi drzwiami, przemknął się tutaj przez pole, pytał o mnie udając, że do niego dzwoniłam, a potem wrócił i „odkrył”, że w czasie jego nieobecności zamordowano żonę. Miał nadzieję, że zbrodnia przypisana zostanie jakiemuś włóczędze albo włamywaczowi. Inspektor przytaknął.

— Jeśli weźmiemy pod uwagę pieniądze... i jeśli małżonkowie nie żyli ze sobą dobrze...

Lecz panna Marple przerwała mu:

— Ale tak nie było.

— Jest pani pewna?

— Wszyscy wiedzieliby o kłótniach Spenlowów. Ich służąca, Gladys Brent, wkrótce powiadomiłaby każdego w St Mary Mead.

— Może nie wiedziała — zasugerował nieśmiało inspektor i zamiast odpowiedzi otrzymał pełen politowania uśmiech.

Panna Marple ciągnęła dalej:

— Teraz drugi obóz. Ted Gerard. Przystojny młody człowiek. Wie pan, obawiam się, że uroda zwykle wpływa na nas bardziej, niż byśmy sobie tego życzyli. Ted to nasz poprzedni wikary. Osiągnął wręcz magiczny efekt! Wszystkie dziewczęta przychodziły do kościoła, i to zarówno na poranne, jak i na wieczorne nabożeństwo. Wiele starszych pań zaangażowało się w prace parafialne. A ile kapci i szalików zrobiono dla niego! To musiało być dość żenujące dla biednego młodzieńca. O czym to ja...? Ach tak, o tym chłopcu, Tedzie Gerardzie. Oczywiście, było trochę plotek. Często odwiedzał panią Spenlow. Chociaż ona opowiadała mi, że był członkiem jakiejś Grupy Oksfordzkiej. To ruch religijny. Są szczerzy i niezwykle gorliwi; pani Spenlow była najwyraźniej pod wrażeniem.

Panna Marple odetchnęła i mówiła dalej:

— Według mnie nie ma powodu zakładać, że chodziło o coś więcej. Ale zna pan ludzi. Sporo osób

jest przekonanych, że pani Spenlow zadurzyła się w tym młodym człowieku i pożyczyła mu dużą sumę pieniędzy. Rzeczywiście widziano go tamtego dnia na stacji. Jechał pociągiem, tym o drugiej dwadzieścia siedem. Oczywiście, całkiem łatwo mógłby wysiąść z drugiej strony, przejść przez tory, przeskoczyć barierkę, obejść żywopłot... wcale nie musiał pojawiać się przy wejściu na stację. Możliwe, że nikt nie zauważył go przy Laburnum Collage. No i oczywiście wszyscy uważają, że strój pani Spenlow był bardzo znaczący.

— Znaczący?

— Kimono. A nie sukienka — panna Marple zarumieniła się. — Według pewnych osób taki strój wiele sugeruje.

— A według pani?

— Och, nie, nie według mnie. Dla mnie to było całkiem normalne.

— Myśli pani?

— W danych okolicznościach tak — panna Marple spojrzała chłodno, zadumana.

— To mogłoby podsunąć nam kolejny motyw obciążający męża — powiedział inspektor. — Zazdrość.

— Ależ skąd. Pan Spenlow nie mógłby być zazdrosny. Należy do typu mężczyzn, co to niczego nie zauważają. Zorientowałby się dopiero wtedy, gdyby jego żona wyjechała i zostawiła list przypięty do poduszeczki na szpilki.

Inspektora zaintrygowało napięcie, z jakim obserwowała go panna Marple. Pomyślał, że całe jej opowiadanie miało podsunąć mu jakąś wskazówkę, której nie pojmował. Teraz odezwała się z naciskiem:

— Nie odkrył pan niczego na miejscu, inspektorze?

— W dzisiejszych czasach ludzie nie zostawiają odcisków palców ani popiołu z papierosa, panno Marple.

— Ale to była zbrodnia w starym stylu... — powiedziała panna Marple.

Slack spytał ostro:

— A cóż znowu ma pani na myśli? Panna Marple odpowiedziała powoli:

— Myślę, że posterunkowy Palk mógłby pomóc. Był pierwszą osobą na „miejscu zbrodni”, jak to się mówi.

Pan Spenlow siedział na leżaku. Wyglądał na zaskoczonego. Odezwał się cieniem głosem urodzonego pedanta:

— Być może tylko to sobie wyobrażam. Co prawda, nie słyszę już tak dobrze jak dawniej, ale zdaje mi się, że jakiś mały chłopiec wolał za mną: „Sinobrody!” To podsunęło mi myśl, że mógł przypuszczać, iż ja... zabiłem moją drogą żonę.

Panna Marple, delikatnie zrywając uschniętą różę, zauważyła:

— Bez wątpienia tak właśnie przypuszczał.

— Ale co mogło podsunąć dziecku taki pomysł?

Panna Marple zakaszła.

— Prawdopodobnie przysłuchiwał się dorosłym.

— Naprawdę pani sądzi... że inni też tak myślą?

— Co najmniej połowa mieszkańców St Mary Mead.

— Ależ... droga pani, co mogło zrodzić podobne przypuszczenia? Byłem szczerze przywiązany do mojej żony. Niestety, nie polubiła wiejskiego życia, choć bardzo na to liczyłem. Cóż, nie można osiągnąć idealnej zgody w każdej sprawie. Zapewniam panią, że dotkliwie odczuwam jej utratę.

— Prawdopodobnie. Lecz, proszę mi wybaczyć, wcale pan na to nie wygląda.

Pan Spenlow wyprostował swą nikłą postać na całą wysokość.

— Moja droga pani, wiele lat temu przeczytałem o pewnym chińskim filozofie, który — kiedy zabrano mu ukochaną małżonkę — nadal spokojnie uderzał w uliczny gong. Przypuszczam, że to typowa rozrywka Chińczyków. Nie zmienił swoich zwyczajów. Mieszkańcy miasta byli pod wrażeniem jego męstwa.

— Jednakże — zauważyła panna Marple — mieszkańcy St Mary Mead reagują raczej odmiennie. Chińska filozofia nie jest tu adekwatna.

— Ale pani rozumie? Panna Marple przytaknęła.

— Mój wuj Henry — wyjaśniła — był niezwykle opanowany. Jego motto brzmiało: „Nigdy nie okazuj swoich uczuć”. On również kochał kwiaty.

— Zastanawiałem się — powiedział pan Spenlow, niemal z ożywieniem — czy nie mógłbym założyć pergoli po zachodniej stronie domu. Pąsowe róże i być może wistaria. Jest jeszcze taki biały gwiazdzisty kwiat, uciekła mi jego nazwa...

Panna Marple powiedziała tonem, jakim przemawiała do swego trzyletniego stryjecznego wnuka:

— Mam bardzo ładny katalog ze zdjęciami. Może chciałby go pan przejrzeć? Ja muszę przejść się do miasteczka.

Zostawiła pana Spenlowa w ogrodzie, gdzie zasiadł uszczęśliwiony nad katalogiem. Poszła do swojego pokoju, pośpiesznie zawinęła jedną z sukienek w papier pakunkowy i wyszła z domu. Zmierzała zwawo na pocztę. Panna Politt, krawcowa, wynajmowała mieszkanie nad urzędem pocztowym.

Lecz panna Marple nie od razu weszła na górę. Była właśnie druga trzydzieści i pod drzwi budynku podjechał autobus z Much Benham. Było to jedno z wielkich wydarzeń w St Mary Mead. Poczmistrzyni pośpieszyła z paczkami, które musiała nadać w związku z handlową stroną swojej działalności. Na poczcie można było również kupić słodczyce, tanie książki i zabawki.

Przez jakieś cztery minuty panna Marple pozostała sama.

Dopiero gdy poczmistrzyni wróciła do swojego okienka, panna Marple wspięła się na górę. Wyjaśniła panie Politt, że chce przerobić starą sukienkę z szarej krepy na bardziej nowoczesną, o ile to tylko możliwe. Panna Politt obiecała sprawdzić, czy da się coś z tym zrobić.

Komisarz zdziwił się trochę, kiedy zaanonsowano pannę Marple. Wkroczyła przepraszając za najście.

— Bardzo, naprawdę bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Wiem, jak jest pan zajęty, ale zawsze był pan taki życzliwy, pułkowniku, że wolałam przyjść do pana zamiast do inspektora Slacka. Przede wszystkim nie chciałabym, żeby posterunkowy Palk miał jakieś kłopoty. Mówiąc ściśle, nie powinien być niczego dotykać.

Pułkownik Melchett poczuł się trochę zdezorientowany.

— Palk? — spytał. — Posterunkowy z St Mary Mead? Co takiego zrobił?

— Widzi pan, on podniósł szpilkę. Była w klapie jego munduru. Od razu przyszło mi na myśl, że mógł podnieść ją z podłogi w domu pani Spenlow.

— Możliwe. Ale, sama pani wie, co znaczy szpilka? Jeśli już o tym mowa, znalazł ją przy ciele zmarłej. Powiedział o tym wczoraj Slackowi. Zakładam, że pani go do tego nakłoniła. Oczywiście, nie powinien być niczego dotykać, ale — jak wspominałem — co znaczy szpilka? Zwyczajna szpilka. Taka, jakiej używają wszystkie kobiety.

— Ależ nie, pułkowniku, tu się pan myli. Dla mężczyzny to może być zwyczajna szpilka, ale tak nie jest. Ta była szczególna, bardzo cienka. Kupuje się je na pudełka, a używają ich krawcowe.

Melchett popatrzył na nią, a w jego oczach zaczęło przeblyskiwać słabe światelko zrozumienia. Panna Marple energicznie pokiwała głową.



— No właśnie. Dla mnie to zupełnie oczywiste. Pani Spenlow włożyła kimono, bo zamierzała przymierzyć nową suknię. Weszła do pokoju od frontu, a panna Politt napomknęła coś o wzięciu miary i zarzuciła metr krawiecki wokół jej szyi. A potem wystarczyło skrzyżować oba końce i pociągnąć. Słyszałam, że to całkiem proste. Później panna Politt wyszła z domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i stała na progu pukając, jakby dopiero co przyszła. Lecz szpilka dowodzi, że była w środku już wcześniej.

— I to panna Politt dzwoniła do Spenlowa?

— Tak. O drugiej trzydzieści z poczty. Dokładnie wtedy, kiedy podjeżdża autobus i na poczcie nie ma nikogo.

— Ale, droga panno Marple, dlaczego? — spytał pułkownik Melchett. — Niech mi pani powie, na Boga, dlaczego. Nie ma morderstwa bez motywu.

— Z tego, co słyszałam, motywy zbrodni leżą w odległej przeszłości. Wie pan, to mi przywodzi na pamięć moich dwóch kuzynów, Antony'ego i Gordona. Cokolwiek zrobił Antony, zawsze obracało się na dobre, a biednemu Gordonowi wiodło się dokładnie na odwrót. Konie wyścigowe zaczynały kuleć, na giełdzie była bessa, akcje spadały. Otóż według mnie zrobili to razem.

— Co?

— Okradły dom. Dawno temu. Chodziło o drogocenne szmaragdy. Pokojówka i pomocnica kucharki. Ponieważ — widzi pan — jednego nigdy nie wyjaśniono: skąd pomocnica kucharki miała pieniądze na założenie kwaciarni? Wyjaśnieniem jest jej udział w kradzieży. Jak to się mówi, łup. Wszystko, co robiła, wychodziło jej na dobre, a pieniądze zamieniały się w jeszcze więcej pieniędzy. Ale ta druga, pokojówka, miała pecha. Skończyła jako wiejska krawcowa. Spotkały się po latach. Na początku pewnie wszystko układało się dobrze. Dopóki na scenie nie pojawił się Ted Gerard. Panią Spenlow gnębiły wyrzuty sumienia. Zresztą od zawsze miała inklinacje do religijności. Ten młody człowiek musiał skłonić ją, by stawiała czoło przeszłości i oczyściła się. Jestem przekonana, że zamierzała to zrobić. A panna Politt była innego zdania. Rozumiała jedynie, że może pójść do więzienia za kradzież dokonaną wiele lat temu. I postanowiła położyć temu kres. Obawiam się, że zawsze była raczej podłą kobietą. Nawet by nie drgnęła, gdyby powieszono tego miłego, głupiego pana Spenlowa. Pułkownik Melchett odezwał się powoli:

— Możemy... cóż... sprawdzić pani teorię... do pewnego stopnia. Potwierdzić, że Politt i pokojówka państwa Abercrombie to jedna i ta sama osoba, ale...

Panna Marple zapewniła go:

— To będzie bardzo proste. To kobieta tego typu, że załamie się w konfrontacji z prawdą. No i jeszcze jedno: mam jej krawiecką miarę. Ja... ukradłam ją wczoraj, mierząc suknię. Kiedy zauważy zgubę i pomyśli, że trafiła w ręce policji... To zupełna ignorantka. Będzie pewna, że macie dowód jej winy.

Uśmiechnęła się zachęcająco do pułkownika.

— Zapewniam pana, że nie będzie żadnych problemów.

Takim samym tonem jego ulubiona ciotka zapewniała go niegdyś, że nie obetnie się na egzaminie wstępnym do Sandhurst.

I nie obciął się.

# Śmiertelna klątwa

— I jak się pani dziś miewa? — spytał swoją pacjentkę doktor Haydock.

Panna Marple, z głową wspartą na poduszce, uśmiechnęła się do niego blado.

— Dużo lepiej — przyznała — ale jestem okropnie przygnębiona. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że byłoby o wiele prościej, gdybym umarła. Jestem już stara. Nikt mnie nie potrzebuje, nikomu na mnie nie zależy.

Doktor Haydock przerwał jej z właściwą sobie szorstkością:

— Typowa reakcja po grypie. Przydałoby się coś, co pozwoliłoby pani oderwać się od własnych myśli. Jakiś bodziec dla umysłu.

Panna Marple westchnęła i potrząsnęła głową.

— A co więcej — kontynuował doktor Haydock — przyniosłem lekarstwo ze sobą!

Rzucił na łóżko podłużną kopertę.

— Dokładnie to, czego pani trzeba. Jedna z tych zagadek, które pani tak lubi.

— Zagadka? — panna Marple wyglądała na zainteresowaną.

— I moja literacka próba — uzupełnił doktor, rumieniąc się trochę. — Próbowałem zrobić z tego opowiadanie. „On powiedział, ona powiedziała, dziewczyna sądziła” i tak dalej. Fakty są prawdziwe.

— Ale dlaczego zagadka? — spytała panna Marple.

Doktor Haydock uśmiechnął się szeroko.

— Ponieważ jej rozwiązanie leży w pani rękach. Chcę sprawdzić, czy jest pani tak mądra, za jaką pani uchodzi.

Wystrzeliwszy tę zatrutą strzałę, doktor wyszedł. Panna Marple wzięła rękopis i zaczęła czytać.

— A gdzie panna młoda? — spytała wesoło panna Harmon.

Cała wioska w napięciu oczekiwała bogatej i pięknej żony Harry'ego Laxtona, którą przywiózł z zagranicy. Według powszechnej opinii Harry, młody utracjusz i hulaka, miał szczęście. Wszyscy

zawsze traktowali go z pobłażaniem. Nawet właściciele okien, których bezustannie gnębił w dzieciństwie swoją procą. Ich oburzenie zniknęło wobec ogromnej skruchy chłopca. Kairy tłukł okna, okradał sady, zakładał sidła na króliki. Później wpadł w długi i wplątał się w romans z córką właściciela sklepu z wyrobami tytoniowymi. Wyplątano go i wysłano do Afryki. Mieszkańcy wioski, reprezentowani przez leciwe stare panny, mruczeły pobłaźliwie: „Ech, no cóż! Wyszumi się i ustatkuje”.

A teraz syn marnotrawny powracał — nie skruszony, lecz triumfujący. Powiadano, że Harry się poprawił. Pozbierał się, pracował ciężko, a wreszcie poznał i zdobył dziewczynę angielsko-francuskiego pochodzenia, właścicielkę znacznej fortuny.

Harry mógł zamieszkać w Londynie albo nabyć posiadłość w jakiejś modnej okolicy z terenami do polowań. A jednak wolał powrócić do tej części świata, która była jego domem. Tu — w prawdziwie romantycznym geście — kupił podupadłą posiadłość, w granicach której leżał dom jego dzieciństwa.

Od prawie siedemdziesięciu lat Kingsdean House pozostawał pusty, popadając stopniowo w ruinę i zapomnienie. W jedynej nadającej się do zamieszkania części ulokował się stary dozorca z żoną. Dwór był obszerny, majestatyczny i nieprzytulny. Otoczony zapuszczonymi ogrodami i lasem, wyglądał niczym ponura siedziba czarownika.

Natomiast należący do posiadłości domek był miły i bezpretensjonalny. Na długie lata wydzierżawiono go majorowi Laxtonowi, ojcu Harry’ego. W dzieciństwie Harry biegał po całej posiadłości i poznał każdy skrawek leśnych gąszczy. Zawsze fascynował go stary dwór.

Major Laxton zmarł parę lat wcześniej i uważano, że zniknęły więzi mogące skłonić Harry’ego do powrotu — a jednak swoją młodą żonę przywiózł właśnie tu, do domu dzieciństwa. Zrujnowany Kingsdean House zburzono, a posiadłość zaatakowała cała armia robotników i przedsiębiorców budowlanych. W magicznie wręcz krótkim czasie (taką właśnie czarodziejską moc ma bogactwo) wśród drzew wyrósł nowy, biały dom.

Następnie wkroczył oddział ogrodników, a za nimi nadszedła kolumna wozów meblowych.

Dom był ukończony. Zatrudniono służących. Na koniec ekskluzywna limuzyna wysadziła przed frontowymi drzwiami pana i panią Laxton.

Mieszkańcy wioski telefonicznie składali im gratulacje, a pani Price, właścicielka największego domu w okolicy i samozwańcza przywódczyni miejscowego towarzystwa, rozesłała zaproszenia na „przyjęcie powitalne dla panny młodej”.

Przyjęcie było wielkim wydarzeniem. Kilka pań sprawiło sobie na tę okazję nowe suknie. Każdy był podniecony, zaciekawiony, każdy niecierpliwie oczekiwał spotkania z tą baśniową istotą. Bo przecież cała historia przypominała bajkę!

Panna Harmon, serdeczna, czerstwa stara panna, przeciskała się przez tłum gości blokujących drzwi bawialni. Wyrzuciła z siebie pytanie, a malutka, wiecznie skwaszona panna Brent udzieliła jej

odpowiedzi.

— Och, moja droga, ona jest czarująca. Dobrze wychowana. I taka młodziutka. Wiesz, czuję się trochę zazdrosna, widząc kogoś, kto jak ona ma dosłownie wszystko. Urodę, pieniądze i ogładę. Jest bardzo dystygowana, nie ma w niej nic prostackiego. A nasz Harry tak bardzo jest do niej przywiązany!

— Ech, dopiero co się pobrali — odparła panna Harmon.

Cienki nos panny Brent zadrżał ze zrozumieniem.

— Moja droga, naprawdę sądzisz...?

— Wszyscy wiemy, jakie ziółko z Harry'ego — stwierdziła panna Harmon.

— Tak było dawniej. Ale teraz na pewno...

— Mężczyźni się nie zmieniają — stwierdziła panna Harmon. — Jeśli ktoś był oszustem, będzie nim zawsze. Znam się na tym.

— O mój Boże. Biedna dziewczyna — panna Brent poweselała. — Tak, pewnie będzie z nim miała kłopoty. Ktoś powinien ją ostrzec. Ciekawe, czy słyszała o tej starej historii.

— To nie w porządku, że ona nic nie wie — zgodziła się panna Harmon. — I dość niezręcznie. Zwłaszcza że w wiosce jest tylko jedna apteka.

Córka właściciela sklepu z tytoniem była obecnie żoną pana Edge'a, aptekarza.

— Byłoby lepiej, gdyby pani Laxton robiła zakupy u Bootsa w Much Benham — zauważyła panna Brent.

— Na pewno Harry sam to jej zaproponuje — stwierdziła panna Harmon.

Wymieniły znaczące spojrzenia.

— Mimo to uważam, że powinna się dowiedzieć — powiedziała panna Harmon. —

Wiedzmy! — Clarice Vane z oburzeniem zwróciła się do swojego wuja, doktora Haydocka. — Niektóre z tych bab to prawdziwe wiedźmy!

Doktor popatrzył na nią ze zdziwieniem.

Clarice była wysoka, ładną, ciemnowłosą dziewczyną o gorącym sercu i impulsywnym charakterze. Tera?, jej duże brązowe oczy błyszczały oburzeniem.

— Te stare kocice — mówiła — te ich plotki i aluzje!

— Dotyczące Harry'ego Laxtona?

— I jego romansu z córką sklepikarza.

— Ach, to! — doktor Haydock wzruszył ramionami. — Wielu młodych ludzi ma doświadczenia tego rodzaju.

— Oczywiście. Wszystko dawno się skończyło. Wiec po co o tym mówić? Po co odgrzebywać to po tylu latach? Zupełnie jak wampiry uczujące nad trupem.

— Tobie rzeczywiście może się tak wydawać. Ale widzisz, niewiele się u nas dzieje i dlatego wszyscy lubią plotkować o starych skandalach. Dlaczego tak cię to denerwuje?

Clarice Vane przygryzła wargi i zarumieniła się. Rzuciła wreszcie stłumionym głosem:

— Wyglądają na bardzo szczęśliwych. Mówię o Laxtonach. Są młodzi i zakochani, wszystko wydaje się im tak piękne. Gdy pomyślę, że szept, aluzje, plotki i złośliwość tych bab to zepsują...

— No tak. Rozumiem.

— Rozmawiałam z nim przed chwilą — ciągnęła Clarice. — Jest taki szczęśliwy, podekscytowany, wręcz... wzruszony, że spełniło się jego marzenie i odbudował Kingsdean. Zachowuje się jak dziecko. A ona... chyba nie spotkało jej w życiu nic złego. Zawsze miała wszystko. Zresztą widziałeś ją. Co ty o niej myślisz?

Doktor nie odpowiedział od razu. Dla innych ludzi Louise Laxton mogła być obiektem zazdrości. Rozpieszczona ulubienica losu. Ale jemu przywodziła na pamięć jedynie refren popularnej przed laty piosenki: *Biedna bogata dziewczynka...*

Drobna, delikatna postać o płowych włosach wijących się sztywno wokół jej twarzy i dużych niebieskich oczach pełnych tęsknoty.

Louise była już trochę zmęczona. Wyczerpały ją składane wciąż gratulacje. Miała nadzieję, że

niebawem będą mogli wyjść. Być może Harry zdecyduje się na to lada moment. Zerknęła na niego. Wysoki, barczysty, ożywiony tym okropnym, nudnym przyjęciem.

*Biedna bogata dziewczynka...*

— Uff! — było to westchnienie pełne ulgi.

Harry obejrzał się na swoją żonę z rozbawieniem. Wracali samochodem z przyjęcia.

— Ależ okropne przyjęcie, kochanie — powiedziała. Harry roześmiał się.

— Rzeczywiście okropne. Ale nie przejmuj się. Musieliśmy je: zaliczyć. Te stare kocice znały mnie, kiedy byłem chłopcem. Byłyby bardzo rozczarowane, gdyby nie mogły przyjrzeć ci się z bliska.

Louise skrzywiła się i spytała:

— Czy będziemy musieli je często spotykać?

— Co takiego? Ależ skąd. Odwiedzą nas i zostawią swoje wizytówki, potem ty odwzajemnisz się im tym samym i więcej nie będziesz musiała już zawracać sobie głowy. Możesz znaleźć własnych znajomych, jeśli chcesz.

Po chwili Louise odezwała się ponownie:

— Nie mieszka tu nikt miły?

— Jasne, że mieszka. Na przykład państwo County. Chociaż mogą ci się wydać trochę nudni. Interesują ich głównie cebulki kwiatów, psy i konie. Zresztą sama zaczniesz jeździć. Spodoba ci się. Chciałbym, żebyś obejrzała w Eglinton jednego konia. To piękne zwierze, idealnie wyszkolone, bez wad, ale z ikrą.

Zwolnił, żeby skrócić w bramę Kingsdean. Niemal natychmiast obrócił gwałtownie kierownicą i zaklął. Na środek drogi wyskoczyła jakaś groteskowa postać, a Harry'emu ledwie udało się ją ominąć. Postać stała tam dalej, wygrażając im pięścią i krzyżąc.

Louise chwyciła go za ramię.

— Kto to był — ta przerażająca starucha? Harry był wściekły.

— Stara Murgatroyd. Ona i jej mąż pilnowali dawnego dworu. Mieszkali w nim przez prawie trzydzieści lat.

— Dlaczego ci groziła? Harry poczerwieniał.

— Jest zła, że zburzono stary dom. No i jest stuknięta. Jej mąż zmarł dwa lata temu. Podobno

zdziwaczała po jego śmierci.

— Czy... czy ona głoduje?

Pojęcie Louise o otaczającym ją świecie było dość mgliste i melodramatyczne. Bogactwo chroniło przed kontaktem z rzeczywistością.

Harry uniósł się gniewem.

— Na Boga, Louise! A cóż to za pomysł! Przydzieliłem jej emeryturę, i to całkiem przyzwoitą. Znalazłem dla niej nowy dom.

— Więc dlaczego się złości? — spytała skonsternowana Louise.

Harry zmarszczył brwi, aż zbiegły się w jedną kreskę.

— A skąd mam wiedzieć? To wariatka! Pewnie kochała stary dwór.

— Ale to przecież była rudera.

— No pewnie. Ściany się waliły, dach przeciekał... nawet nie było bezpiecznie tam mieszkać. Mimo to, jak sądzę, wiele dla niej znaczył. Spędziła w nim długie lata. Zresztą sam nie wiem. Po prostu stara wiedźma jest stuknięta.

— Myślę... — zaczęła Louise z trudem — że ona nas przeklęła. Och, Harry, żałuję, że to się stało.

Louise miała wrażenie, że jej nowy dom został skażony i zatruty przez złowieszczą postać szalonej starej kobiety. Zawsze gdy wysiadała z samochodu, jeździła konno albo spacerowała z psami, starucha czekała na nią. Zgarbiona, w zniszczonym kapeluszu na strąkach stalowosiwych włosów, mamrocząc przekleństwa.

Louise zaczynała wierzyć, że Harry miał rację i że kobieta jest szalona. Lecz to niczego nie zmieniało. Pani Murgatroyd nigdy nie weszła do domu, właściwie nawet nie rzuciła konkretnych gróźb i nigdy nie zachowywała się gwałtownie. Krążyła tylko przed bramą. Nie było sensu zwracać się do policji, zresztą Harry był temu przeciwny. Twierdził, że wzbudziłoby to sympatię miejscowych dla starej wariatki. Nie przejmował się nią tak bardzo jak Louise.

— Nie zamartwiaj się tym, kochanie. W końcu sama zmęczy się swoimi przekleństwami. Po prostu nas wypróbuj.

— Wcale nie, Harry. Ona... ona nas nienawidzi! Czuję to. Złorzeczy nam.

— Nie jest przecież czarownicą, choć może tak wygląda. Niepotrzebnie traktujesz ją z taką śmiertelną powagą.



Louise nie odpowiedziała. Kiedy minęło pierwsze podniecenie nowym domem, poczuła się osamotniona i pozbawioną zajęć. Przywykła do życia w Londynie i na Riwierze. Nie wiedziała nic o angielskiej wsi i nie bardzo ją lubiła. Zupełnie nie znała się na ogrodnictwie, poza sztuką układania kwiatów. Właściwie nie przepadała za psami. Nudzili ją sąsiedzi. Polubiła jedynie konne przejażdżki z Harrym albo — kiedy on zajmował się posiadłością — samotne. Jeździła po leśnych drózkach, ciesząc się lekkim kłusem pięknego konia, którego Harry dla niej kupił. Lecz nawet Księżę Hal, najwrażliwszy z kasztanków, bał się i parskał, mijając skuloną postać złowrogiej staruchy.

Pewnego dnia Louise zebrała się na odwagę. Wyszła na spacer i przechodząc obok pani Murgatroyd udała, że jej nie zauważyła, ale raptem odwróciła się i podeszła prosto do niej. Spytała, niemal bez tchu:

— O co pani chodzi? Czego pani chce?

Starucha zerknęła na nią. Miała chytrą, ciemną twarz Cyganki, okoloną kosmykami siwych włosów. Jej spojrzenie było mętne i podejrzliwe. Louise zastanowiła się, czy przypadkiem nie jest pijaczką.

Kobieta odezwała się drżącym, a jednak groźnym głosem:

— Pytasz, czego chcę? Coś takiego! Tego, co mi zabrano. Kto wyrzucił mnie z Kingsdean House? Mieszkałam tam, kiedy jeszcze byłam młoda, będzie ze czterdzieści lat. To był zły uczynek wypędzić mnie jak psa. Przyniesie nieszczęście tobie i jemu!

— Ma pani przecież ładny domek i... — zaczęła Louise, ale niemal natychmiast urwała.

Starucha wyrzuciła w górę ramiona i wrzasnęła:

— I co mi z tego? Chcę wrócić na moje miejsce i usiąść przy moim kominku! Nie znajdziecie szczęścia w swoim ślicznym nowym domu. Spadnie na ciebie czarny smutek. Smutek, śmierć i moja klątwa! Oby twoja śliczna buzia zgniła!

Louise odwróciła się i potykając się, zaczęła uciekać. Powtarzała w myślach: „Muszę się stąd wydostać! Musimy sprzedać dom i wyjechać!”

W owej chwili takie rozwiązanie wydawało się jej proste. Zaskoczyło ją, że Harry zupełnie jej nie zrozumiał.

— Wyjechać stąd? — wykrzyknął. — Sprzedać dom? Przez groźby starej wariatki? Chyba oszalałaś.

— Wcale nie. Ona... ona mnie przeraża. Wiem, że stanie się coś złego.

Hairy Laxton stwierdził ponuro:

— Zostaw panią Murgatroyd mnie. Sam to załatwię.

Młoda pani Laxton i Clarice Vane zaprzyjaźniły się. Obie były mniej więcej w tym samym wieku, choć różniły się zarówno charakterem, jak i upodobaniami. Przebywając w towarzystwie Clarice, Louise odzyskiwała pewność siebie. Clarice była tak bardzo samodzielna i niezależna. Louise napomknęła jej o pani Murgatroyd i jej groźbach, a Clarice uznała całą sprawę za bardziej denerwującą niż niebezpieczną.

— Głupia sytuacja i rzeczywiście może wytrącić z równowagi — stwierdziła.

— Czasami jestem... przerażona. Serce bije mi jak szalone.

— Bzdura. Nie możesz pozwolić, by gnębiło cię podobne głupstwo. Niedługo się tym znudzi.

Ponieważ Louise nie odzywała się, Clarice zapytała: — O co chodzi?

Louise milczała jeszcze przez chwilę, a potem raptownie wyrzuciła z siebie:

— Nienawidzę tego miejsca! Nie chcę być tutaj. Te lasy, dom, okropna cisza w nocy i pohukiwania sów. Nawet ludzie... — Jacy ludzie?

— Mieszkańcy wioski. Te ciekawskie, plotkujące stare panny.

— Co takiego mówią? — spytała ostrym tonem Clarice.

— Nie wiem. Właściwie nic. Ale mają wstrętne myśli. Po rozmowie z nimi mam wrażenie, że nikomu nie powinno się ufać, że lepiej już nigdy nikomu nie zaufać.

— Zapomnij o nich — powiedziała szorstko Clarice. — Nie mają nic do roboty poza plotkami. Większość z tego, co plotają, to ich własne wymysły.

— Szkoda, że tu przyjechaliśmy. Ale Harry tak uwielbia ten dom — jej głos zmiękł przy tych słowach.

— Jak ona uwielbia Harry'ego — pomyślała Clarice i powiedziała na głos:

— Muszę już iść.

— Każę szoferowi cię odwieźć. Odwiedź mnie wkrótce.

Clarice skinęła głową. Wizyty nowej przyjaciółki podnosiły Louise na duchu, a Harry cieszył się widząc, że żona jest weselsza, i namawiał ją, żeby zapraszała Clarice częściej.

Pewnego dnia powiedział:

— Dobre wieści dla ciebie, kochanie.

— Co się stało?

— Załatwiłem sprawę ze starą Murgatroyd. Ma syna w Ameryce. Pojedzie do niego. Zapłacę za jej podróż.

— Cudownie, Harry. Może jeszcze polubię Kingsdean.

— Polubisz? Przecież to najwspanialsze miejsce na ziemi!

Louise zadrżała. Nie tak łatwo jej było pozbyć się obaw.

Panie z St Mary Mead miały nadzieję, że uda im się podzielić z Louise wiedzą o przeszłości jej męża.

Jednakże tę przyjemność odebrało im błyskawiczne posunięcie samego Harry'ego.

Panna Harmon i Clarice Vane znajdowały się akurat w sklepie pana Edge'a — pierwsza kupowała kulki na mole, a druga kwas borny, kiedy Laxtonowie weszli do środka.

Przywitawszy się z obiema paniami, Harry podszedł do lady i miał już poprosić o szczoteczkę do zębów, kiedy urwał nagle i wykrzyknął serdecznie:

— A kogo my tu mamy! Przecież to Bella!

Pani Edge, która wyszła w pośpiechu z zaplecza, by wspomóc męża, rozpromieniła się na widok Harry'ego, odsłaniając w uśmiechu duże, białe zęby. Niegdyś była ciemnowłosą, przystojną dziewczyną i wciąż pozostała przystojna, choć przytyła, a rysy jej twarzy zgrubiały. Duże brązowe oczy były pełne ciepła, kiedy odpowiedziała:

— To ja, panie Harry. Miło mi pana widzieć po tylu latach.

Harry zwrócił się do żony:

— Bella to moja dawna dziewczyna, Louise. Byłem w niej po uszy zakochany, czyż nie, Bella?

— Jeśli tak pan mówi... — odparła pani Edge. Louise roześmiała się.

— Mój mąż jest bardzo szczęśliwy, kiedy spotyka starych znajomych.

— Nie zapomnieliśmy pana, panie Harry — powiedziała pani Edge. — Całkiem jak w bajce: ożenił się pan i wybudował nowy dom zamiast tej rudery.

— Wyglądasz kwitnąco — stwierdził Harry, a pani Edge roześmiała się i oświadczyła, że dobrze się jej wiedzie. Spytała, czy nadal chce szczoteczkę do zębów.

Dostrzegając zawiedzioną minę panny Harmon, Clarice pomyślała triumfalnie: „Świetna robota, Harry. Wytrąciłeś im broń z ręki”.

— Cóż to za bzdurne plotki o starej pani Murgatroyd wałęsającej się wokół Kingsdean i wyklinającej nowy porządek z zaciśniętą pięścią? — doktor Haydock zwrócił się ostrym tonem do swojej siostrzenicy.

— To wcale nie bzdurne plotki. Louise była tym bardzo zdenerwowana.

— Powiedz jej, że niepotrzebnie się martwi. Kiedy Murgatroydowie pilnowali dworu, zawsze narzekali. Nie wynieśli się tylko dlatego, że Murgatroyd pił i nie mógł znaleźć innej pracy.

— Powiem jej, ale chyba nie uwierzy — w głosie Clarice brzmiała niepewność. — Staruszka wręcz trzęsie się ze złości.

— Zawsze lubiła Harry’ego, kiedy ten był mały. Nic nie rozumiem.

— I tak niedługo się jej pozbędą — powiedziała Clarice. — Harry opłacił jej przejazd do Ameryki.

Trzy dni później Louise zginęła. Spadła z konia.

Świadcami wypadku byli dwaj mężczyźni w furgonetce z pieczywem. Widzieli, jak Louise minęła bramę Kingsdean House i jak przed konia wyskoczyła stara kobieta, machając rękami i wrzeszcząc. Widzieli, jak koń spłoszył się, skręcił raptownie i popędził oszalały w dół drogi, zrzuciwszy przez łeb Louise Laxton.

Jeden z mężczyzn pozostał przy nieprzytomnej kobiecie, nie wiedząc, co począć, a drugi pobiegł do dworu po pomoc.

Po chwili nadbiegł Harry. Jego twarz była śmiertelnie blada. Zdjęli drzwi z samochodu i na nich zanieśli ranną do domu. Zmarła przed przybyciem lekarza, nie odzyskawszy przytomności.

(Na tym kończył się rękopis doktora Haydocka.)

Kiedy następnego dnia zjawił się sam autor, z zadowoleniem ocenił zaróżowione policzki i wyraźne ożywienie panny Marple.

— I jak brzmi pani werdykt? — zapytał.

— A gdzie tu jest problem, doktorze? — spytała jego pacjentka.

— Czyżbym musiał to wyjaśniać, szanowna pani?

— Przypuszczam, że chodzi o dziwaczne zachowanie dozorczyń — zaczęła panna Marple. — Dlaczego reagowała w ten sposób? Ludzie rzeczywiście nie lubią, gdy ktoś wypędza ich z domu. Ale to nie był jej dom. W rzeczywistości marudziła i narzekała, że musi w nim mieszkać. Z pewnością wygląda to podejrzanie. A propos, co się z nią stało?

— Uciekła do Liverpoolu. Ten wypadek wystraszył ją. Uznała, że tam poczeka na statek.

— Co musiało być bardzo dogodnie dla pewnej osoby — uznała panna Marple. — Cóż, według mnie „sprawę dziwacznej dozorczyń” można łatwo rozwiązać. Została przekupiona, prawda?

— Tak brzmi pani rozwiązanie?

— Skoro nie zachowywała się tak nigdy przedtem, musiała udawać, a to oznacza, że ktoś jej za to zapłacił.

— I wie pani, kto?

— Tak, przypuszczam. Obawiam się, że jak zwykle chodzi o pieniądze. Zauważyłam, że mężczyznom z reguły podoba się ten sam typ kobiet.

— Chyba się pogubiłem.

— Ależ wszystko się z sobą łączy. Harry Laxton zakochał się w Belli Edge, ciemnowłosej, pełnej życia kobiecie. Podobnej do pańskiej siostrzenicy Clarice. Lecz jego biedna malutka żona reprezentowała zupełnie odmienny typ: jasnowłosej przylepki. Na pewno poślubił ją dla pieniędzy. I dla pieniędzy ją zamordował. — Użyła pani słowa „zamordował”?

— To by do niego pasowało. Jest mężczyzną atrakcyjnym dla kobiet i zupełnie pozbawionym skrupułów. Przypuszczam, że chciał zatrzymać pieniądze żony i poślubić pańską siostrzenicę. Widziano, jak rozmawiał z panią Edge. Ale według mnie nic go już z nią nie łączyło. Choć może biedaczce tak się wydawało. Pewnie szybko owinął ją sobie wokół palca.

— Jak właściwie zamordował żonę?

Przez chwilę panna Marple patrzyła przed siebie, zadumana.

— Doskonale zgrał wszystko w czasie. Zapewnił sobie świadków. Widzieli staruszkę i ją obwiniali o spłoszenie konia. Ale według mnie wystraszył go strzał z pistoletu albo z procy. Właśnie wtedy, kiedy koń mijał bramę. Oczywiście zwierzę spłoszyło się i zrzuciło panią Laxton.

Umilkła i zmarszczyła brwi.

— Upadek mógł ją zabić, ale tego Harry nie był pewny. A wygląda na człowieka, który starannie wszystko planuje i nie zostawia niczego przypadkowi. Pani Edge mogła dostarczyć mu odpowiednią truciznę, bez wiedzy męża. W innym wypadku po co Harry zawracałby sobie nią głowę? Na pewno miał pod ręką jakiś silny narkotyk i podał go żonie, zanim pan nadjechał. Jeśli kobieta spada z konia, jest ciężko ranna i umiera nie odzyskując przytomności, lekarz nic nie podejrzewa, prawda? Kładzie

jej śmierć na karb szoku lub obrażeń.

Doktor Haydock skinął twierdząco głową.

— Dlaczego więc nabrał pan podejrzeń?

— Raczej nie dlatego, żebym był szczególnie mądry — zaczął wyjaśnienia doktor Haydock. — To raczej banalny, dobrze znany fakt, że morderca jest tak zachwycony swoim sprytem, iż zapomina o pewnych środkach ostrożności. Próbowałem jakoś pocieszyć pogrążonego w smutku męża, bardzo mu zresztą współczułem. Rzucił się na sofę i zaczął udawać rozpacz, kiedy z kieszeni wypadła mu strzykawka. Pochwycił ją zaraz z takim przerażeniem, że mnie to zastanowiło. Harry Laxton nie był narkomanem, cieszył się doskonałym zdrowiem, a więc po co mu strzykawka? Przeprowadziłem sekcję zwłok, szukając rozwiązania. Znalazłem strofantyne. Reszta była już łatwa. Harry Laxton miał strofantyne w domu, a Bella Edge załamała się na policji i przyznała, że mu ją dostarczyła. Na koniec stara pani Murgatroyd wyznała, że Harry namówił ją do udawania rzucającej przekleństwa wariatki.

— A pańska siostrzenica pogodziła się z tym?

— Tak, Harry pociągał ją, ale nie zaangażowała się za bardzo.

Lekarz wziął swój rękopis.

— Najwyższa nota dla pani, panno Marple, i dla mnie, za moją receptę. Wydaje mi się, że znów jest pani sobą.

# Idealna służąca

— Bardzo przepraszam, ale czy mogłabym chwilę z panią porozmawiać?

Prośba mogłaby wydać się absurdalna, jako że Edna, mała służąca panny Marple, w tej chwili właśnie rozmawiała ze swoją chlebodawczynią.

Jednakże panna Marple słusznie uznała, że Edna posłużyła się jedynie utartym zwrotem, i odpowiedziała z miejsca:

— Oczywiście. Wejdz i zamknij drzwi. O co chodzi?

Edna posłusznie zamknęła drzwi i podeszła bliżej, miętosząc w palcach róg fartuszka. Przełknęła głośno ślinę.

— A więc, Edno? — rzuciła zachęcająco panna Marple.

— Och, proszę pani, chodzi o moją kuzynkę Gladdie.

— Mój Boże — wykrzyknęła panna Marple, podejrzewając najgorsze i najbardziej oczywiste — nie jest chyba w... kłopotach?

Edna pośpiesznie zaprzeczyła.

— Och nie, proszę pani, w żadnym razie. Gladdie nie należy do tego typu kobiet. Po prostu denerwuje się. Bo, widzi pani, straciła pracę.

— Przykro mi to słyszeć. Była w Old Hall, prawda? U panny... u panien Skinner?

— Właśnie tak, proszę pani. Gladdie bardzo się zdenerwowała, naprawdę bardzo.

— Ale przecież często zmieniała pracę, prawda?

— No tak, proszę pani. Gladdie jest pierwsza do zmian. Nigdy nie zdomowi się na dobre, jeśli jasno się wyrażam. Ale to ona zawsze rezygnowała.

— A tym razem zrezygnowano z niej? — spytała oschle panna Marple.

— No właśnie, proszę pani. Okropnie to Gladdie zdenerwowało.

Panna Marple była dość zdziwiona. W jej pamięci Gladys, która w „dni wychodne” wpadała niekiedy na herbatkę w kuchni, była tęgą, rozchichotaną dziewczyną o niewzruszenie zrównoważonym usposobieniu.

— Widzi pani, chodzi o sposób, w jaki to się stało — ciągnęła Edna. — Jak panna Skinner na nią patrzyła.

— A jak panna Skinner na nią patrzyła? — spytała cierpliwie panna Marple.

Tym razem z ust Edny popłynął cały strumień informacji.

— Och, proszę pani! To był okropny szok dla Gladdie. Widzi pani, zginęła broszka panny Emily, no i zrobiło się mnóstwo zamieszania i krzyku. Pewnie, że nikt nie lubi takich sytuacji, bo to bardzo denerwuje, jeśli wie pani, o czym mówię. Gladdie pomagała szukać, a panna Lavinia powiedziała, że pójdzie na policję, i wtedy broszka się znalazła, leżała na dnie szuflady w toalecie, a Gladdie bardzo ulżyło. Zaraz następnego dnia jak zwykle stłukł się talerz, a panna Lavinia naskoczyła na Gladdie i kazała jej wziąć miesięczne wypowiedzenie. Gladdie uważa, że nie poszło o talerz i że panna Lavinia szukała tylko pretekstu, bo tak naprawdę chodziło jej o broszkę. Pewnie myślała, że Gladdie ją wzięła i odłożyła na miejsce, kiedy wspomniano o policji. A przecież Gladdie nigdy by tego nie zrobiła, przenigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Boi się, że wszyscy się dowiedzą i będą przeciwko niej. Bo to, proszę pani, poważna rzecz dla służącej.

Panna Marple przytaknęła. Nie czuła szczególnego sentymentu do energicznej, pewnej siebie Gladys, ale była pewna jej uczciwości i doskonale rozumiała, jak bardzo musiała przejąć się całą sprawą. Edna zauważyła ze smutkiem:

— Pewnie nie może pani nic na to poradzić. Gladdie już nie wie, co robić...

— Powiedz jej, żeby się nie wygłupiała — powiedziała szorstko panna Marple. — Jeśli nie wzięła broszki, a jestem pewna, że tego nie zrobiła, nie ma powodu do zdenerwowania.

— Będą plotki — zauważyła Edna ponuro.

— Wybieram się tam dziś po południu — powiedziała panna Marple. — Porozmawiam z pannami Skinner.

— Och, bardzo pani dziękuję — wykrzyknęła Edna.

Old Hall był to stary wiktoriański dom otoczony parkiem i lasami. Ponieważ w swoim pierwotnym stanie nie nadawał się ani do wynajęcia, ani na sprzedaż, przedsiębiorczy właściciel podzielił go na cztery mieszkania z centralnym bojlerem, a z przyległych terenów mogli korzystać wszyscy lokatorzy. Eksperyment się powiódł. Jedno mieszkanie zajmowała ekscentryczna stara dama i jej pokojówka. Dama uwielbiała ptaki i codziennie karmiła skrzydlate stadko. Drugie mieszkanie wynajęło przybyłe z Indii małżeństwo: sędzia na emeryturze i jego żona. Trzecie należało do młodziutkiej pary tuż po ślubie, a czwarte dwa miesiące temu wynajęły dwie panie nazwiskiem Skinner. Lokatorzy nie utrzymywali bliższych kontaktów, ponieważ nie mieli ze sobą nic wspólnego. Właściciel stwierdził podobno, że to doskonale się składa. Bał się przyjaźni, które z czasem mogą się ochłodzić i doprowadzić do skarg i zażaleń składanych na jego ręce.



Panna Marple знала wszystkich lokatorów, choć żadnego zbyt dobrze. Starszą z panien Skinner, Lavinie, można by nazwać głównym pracownikiem przedsiębiorstwa. Młodsza, Emily, spędzała większość czasu w łóżku, uskarżając się na różne dolegliwości, które w opinii mieszkańców St Mary Mead po prostu sobie wymyślała. Jedynie panna Lavinia wierzyła w cierpienia siostry i doceniała jej cierpliwość w chorobie. Chętnie spełniała polecenia, wędrując do wioski po sprawunki, „na które siostra nabrała nagle ochoty”.

Zdaniem St Mary Mead gdyby panna Emily cierpiała choć w połowie tak, jak twierdziła, dawno już posłałaby po doktora Haydocka. Lecz kiedy podsunęto to pannie Emily, przymknęła oczy i z wyższością oświadczyła słabym głosem, że jej przypadek nie należy do prostych, że najlepsi specjaliści w Londynie nie wiedzieli, co począć. Dodała, że pewien cudowny nowy lekarz poddał ją radykalnej terapii i ma nadzieję, iż jej zdrowie się polepszy. Żaden przeciętny internista nie połapałby się w jej chorobie.

— A według mnie mądrze robi, że po niego nie posyła — oświadczyła otwarcie panna Hartnell. — Drogi doktor Haydock z właściwą mu jowialnością powiedziałby, że nic jej nie jest i że ma wstać i skończyć z grymaszeniem! To by jej bardzo dobrze zrobiło.

Mimo tych opinii panna Emily nadal polegiwała na sofie, otoczona pudełkami podejrzanych pigułek, i z reguły odmawiała zjedzenia tego, co dla niej przygotowano, prosząc o inną potrawę, zazwyczaj pracochłonną i ze składników nietłatwych do zdobycia.

Drzwi otworzyła „Gladdie”. Panna Marple nigdy nie przypuszczała, że Gladys może być aż tak zgnębiona. W salonie (zajmującym czwartą część dawnego pokoju, podzielonego obecnie na jadalnię, pokój dzienny, łazienkę i spiżarnię) powitała ją panna Lavinia.

Lavinia Skinner była kobietą koło pięćdziesiątki, wysoką, chudą i kościstą. Cechowała ją pewna szorstkość w obejściu i niski, burkliwy głos.

— Miło panią widzieć — powiedziała. — Emily położyła się. Kiepsko się dziś miewa, biedactwo. Mam nadzieję, że będzie pani mogła do niej zajrzeć. To by ją podniosło na duchu. Czasami nie czuje się na siłach widzieć kogokolwiek. Biedactwo, ma tyle cierpliwości.

Panna Marple odparła coś uprzejmie. Głównym tematem dyskusji w St Mary Mead była służba, więc bez trudu poprowadziła rozmowę w tym kierunku. Napomknęła, że podobno ta miła dziewczyna Gladys Holmes odchodzi.

Panna Lavinia przytaknęła.

— W przyszłą środę. Wszystko tłuła. Nie mogę ha to pozwolić.

Panna Marple westchnęła i zauważyła, że w dzisiejszych czasach wszyscy musimy wiele znieść. Trudno ściągnąć służącą na wieś. Czy według panny Skinner roztropnie jest pozbywać się Gladys?

— Wiem, że trudno zdobyć służącą — przyznała panna Lavinia. — Devereuxowie nie mają nikogo. Choć ja się temu nie dziwię. Te ciągłe kłótnie, jazz po nocach i posiłki o byle której godzinie. Ta dziewczyna nie ma pojęcia o prowadzeniu domu. Żal mi jej męża. A Larkinowie właśnie stracili pokojówkę. No, ale przy temperamencie sędziego i żądaniach *chota hazri*, jak on to nazywa, o szóstej rano, i przy pani Larkin wiecznie robiącej zamieszanie... Nawet mnie to nie dziwi. Janet przyłgnęła na dobre do pani Carmichael, ale według mnie to okropnie nieprzyjemna kobieta, dosłownie sterroryzowała starszą panią.

— Może więc rozważy pani jeszcze swoją decyzję? Gladys jest naprawdę miłą dziewczyną. Znam całą jej rodzinę. Są bardzo ucziwi i dobrze wychowani.

Panna Lavinia potrząsnęła głową.

— Mam swoje powody — oświadczyła z ważną miną.

— Podobno zgubiła pilni broszkę... — zaczęła cicho panna Marple.

— A kto pani powiedział? Pewnie ta dziewczyna. Szczerze mówiąc, jestem niemal pewna, że to ona ją wzięła. Potem przestraszyła się i odłożyła na miejsce. No ale oczywiście nie można nic powiedzieć, jeśli nie ma się absolutnej pewności. Niechże pani wejdzie na górę i zajrzy do Emily —

zmieniła temat. — Na pewno dobrze jej to zrobi.

Panna Marple poszła potulnie za gospodynią. Lavinia Skinner zastukała do drzwi i usłyszawszy „proszę” wprowadziła gościa do najlepszego w całym mieszkaniu pokoju. Było w nim dość ciemno, gdyż zasłony zaciągnięto do połowy. Panna Emily leżała na łóżku, najwyraźniej zadowolona z półmroku i własnych nieokreślonych cierpień.

Przyćmione światło ukazywało chudą, niepewną siebie istotę o gęstych siwo-żółtych włosach, nieporządnie upiętych wokół głowy i opadających w lokach na ramiona. W sumie fryzura przypominała ptasie gniazdo, z którego jednak żaden szanujący się ptak nie mógłby być dumny. W pokoju pachniało wodą kolońską, zeschniętymi biszkoptami i kamforą.

Przymknąwszy oczy, Emily Skinner wyjaśniła słabym głosem, że to „jeden z jej złych dni”.

— Najgorsze w chorobie jest to — ciągnęła melancholijnie — że chory wie, jakim ciężarem bywa dla innych. Lavinia jest dla mnie bardzo dobra.

— Nie chcę ci sprawiać kłopotu, kochanie — Emily zwróciła się do siostry — ale czy można by napełniać mój termofor tak, jak lubię? Zbyt pełny jest ciężki, ale z drugiej strony, jeśli nie ma w nim dość wody, natychmiast robi się zimny!

— Przepraszam, kochanie. Daj mi go. Wyleję trochę wody.

— Skoro już to robisz, może wymieniałabyś od razu wodę? Pewnie nie mamy w domu sucharków. Nie, nie, nic nie szkodzi. Obejdę się bez nich. Poproszę słabą herbatkę z plasterkiem cytryny. Nie ma cytryn? No nie, nie wypiję herbaty bez cytryny. Chyba mleko było rano troszkę skwaśniałe. To odebrało mi chęć na herbatę z mlekiem. Nic nie szkodzi. Obejdę się bez herbaty. Tylko że czuję się taka osłabiona. Podobno ostrygi są bardzo pożywne. Może zjadłabym kilka? Nie, nie, za dużo kłopotu z szukaniem ich po sklepach o tak późnej porze. Mogę pościć do jutra.

Lavinia wyszła z pokoju, mamrocząc niezbyt składnie, że pojedzie rowerem do wioski.

Panna Emily uśmiechnęła się słabo do gościa i powiedziała, że nie lubi sprawiać komukolwiek kłopotu.

Tego wieczoru panna Marple wyznała Ednie, iż obawia się, że jej poselstwo nie odniosło skutku.

Zmartwiła się słysząc, że plotki o nieuczciwości Gladys zdążyły już obieć wioskę.

Na poczcie zaczepiła ją panna Wetherby.

— Słyszałaś, droga Jane? Dały jej referencje na piśmie. Jest chętna do pracy, rozważna i porządna, ale nic o uczciwości! To bardzo znaczące. Podobno była jakaś afera z broszką. Musi coś w tym być, bo przecież w dzisiejszych czasach nie oddała się służącej, jeśli nie chodzi o coś poważnego. Trudno będzie im znaleźć następną. Żadna dziewczyna nie pójdzie do Old Hall. Wszystkie się zdenerwowały. Zobaczysz sama, panny Skinner nikogo nie znajdą. Być może ta okropna hipochondryczka będzie musiała wstać i wreszcie coś zrobić!

Wielki smutek zapanował w wiosce, kiedy dowiedziano się, że panny Skinner zatrudniły poprzez agencję nową pokojówkę, która według wszelkich świadectw była chodzącym ideałem.

— Trzyletnia służba z bardzo ciepłymi referencjami, woli wieś i chce mniej od Gladys. Naprawdę miałyśmy szczęście.

— Rzeczywiście — przyznała panna Marple, z którą Lavinia Skinner podzieliła się tymi szczegółami, kiedy spotkały się w sklepie rybnym. — Brzmi aż za dobrze, by było prawdą.

Mieszkańcy St Mary Mead utrzymywali, że ideał wycofa się w ostatniej chwili i nie przyjedzie.

Prognozy nie sprawdziły się jednak i wszyscy mogli zobaczyć domowy skarb nazwiskiem Mary Higgins, kiedy taksówka Reeda wiozła go przez wioskę do Old Hali. Trzeba przyznać, że służąca wyglądała dobrze. Była to szacowna, schludnie ubrana kobieta.

Kiedy panna Marple złożyła następną wizytę w Old Hall, szukając pań chętnych do poprowadzenia stoiska na wencie dobroczynnej, drzwi otworzyła jej Mary Higgins. Wyglądała na pokojówkę wysokiej klasy. Miała jakieś czterdzieści lat, zadbane czarne włosy, różowe policzki i dość pulchną figurę. Nosiła skromną czarną sukienkę i biały fartuszek, a na głowie czepek. „Służąca w dobrym, dawnym stylu” — komentowała później panna Marple. W dodatku mówiąca poprawnie, cicho i z szacunkiem — całkowite zaprzeczenie Gladys, która mówiła głośno i niewyraźnie, jakby miała trzeci migdał.

Panna Lavinia przestała wyglądać na znękaną, choć z żalem odmówiła wzięcia udziału w organizowanej przez pastora uroczystości. Wyjaśniła, że musi zajmować się siostrą. Tym niemniej złożyła przyzwoity datek i obiecała, że prześle suszki do piór i dziecięce skarpetki. Panna Marple skomentowała dobre samopoczucie panny Skinner.

— Mam wielki dług u Mary — wyjaśniła panna Lavinia — i cieszę się, że zdecydowałam się oddalić poprzednią służącą. Mary jest po prostu bezcenna. Świetnie gotuje, pięknie podaje do stołu i utrzymuje nasze małe mieszkanko w idealnej czystości. Codziennie odwraca materace na drugą stronę. Wspaniale radzi sobie z Emily.

Panna Marple pośpieszyła z pytaniem o zdrowie Emily.

— Och, biedactwo, jest ostatnio taka przybita. Wiem, że nie może nic na to poradzić, choć czasami sprawia trochę kłopotu. Chce, żeby jej coś ugotować, a kiedy to dostanie, mówi, że nie może jeść. W pół godziny potem znowu nabiera apetytu, ale do tego czasu potrawa nie nadaje się już do podania i trzeba ją przyrządzić na nowo. To sporo dodatkowej pracy, ale na szczęście Mary wcale się nie gniewa. Mówi, że przywykła do obłożnie chorych i że ich rozumie. Mam z niej taką wyrękę!

— Poszcęściło się pani — przyznała panna Marple.

— Naprawdę. Mam wrażenie, że Mary zesłano nam w odpowiedzi na nasze modlitwy.

— Wydaje mi się, że jest aż za dobra, by była prawdziwa — powiedziała panna Marple. — Na pani miejscu byłabym ostrożna.

Lavinia Skinner najwyraźniej nie rozumiała aluzji.

— Och, ależ ja robię wszystko, aby było jej wygodnie. Nie mam pojęcia, jak bym sobie poradziła, gdyby odeszła.

— Nie sądzę, żeby odeszła, zanim będzie do tego gotowa — zauważyła panna Marple i spojrzała znacząco na gospodynię.

— Człowiekowi jest o wiele lżej, jeśli nie ma kłopotów w domu — stwierdziła panna Lavinia. — A jak tam pani Edna?

— Idzie jej całkiem nieźle. Nie jest oczywiście doskonała, jak Mary. Ale ja wiem o Ednie wszystko. Pochodzi przecież z naszej wioski.

Kiedy wyszła do holu, dobiegł ją podniesiony, rozdrażniony głos chorej.

— Ten kompres jest suchy! Doktor Allerton mówił, że trzeba go co trochę moczyć. Och, zostaw to. Chcę filiżankę herbaty i jajko. Pamiętaj, ma się gotować dokładnie trzy i pół minuty. Przyślij do mnie pannę Lavinę.

Z sypialni wyszła idealna służąca. Zwróciła się do Lavinii:

— Panna Emily panią prosi.

Następnie pomogła panie Marple włożyć płaszcz i płynnym gestem wręczyła jej parasolkę.

Panna Marple wzięła parasolkę, upuściła ją, podniosła, upuszczając przy tym torebkę i rozsypując jej zawartość. Mary uprzejmie pozbierała rozrzucone drobiazgi: chusteczkę, notatnik, staromodną skórzaną portmonetkę, dwie monety szylingowe i trzy jednopensówki oraz miętówkę.

Panna Marple zmieszała się, kiedy służąca podała jej cukierek.

— Och, mój Boże, to na pewno dzieciak pani Clement. Pamiętam, że ssał go, kiedy wziął moją torebkę do zabawy. Musiał włożyć miętówkę do środka. Cała się lepi, prawda?

— Czy mam ją wyrzucić?

— Może pani? Bardzo dziękuję.

Mary pochyliła się, by podnieść ostatnią zgubę — małe lusterko. Odbierając je, panna Marple wykrzyknęła z radością:

— Jak dobrze, że się nie stłukło!

Wreszcie wyszła, a Mary stała na progu z cukierkiem w palcach, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Jeszcze przez dziesięć dni St Mary Mead musiało znosić zachwyty wyrażane

nad skarbem panny Lavinii i Emily.

Jedenastego dnia przez wioskę przebiegł dreszczyk emocji.

Idealna. Mary zniknęła! Nie spała w swoim łóżku i zostawiła frontowe drzwi otwarte. Wyślizgnęła się po cichu w nocy.

Nie tylko Mary zniknęła. Razem z nią przepadły dwie broszki i pięć pierścionków panny Lavinii, a także trzy pierścionki, wisiołek, bransoletka i cztery broszki panny Emily!

To był początek katastrofy.

Młoda pani Devereux straciła diamenty, które trzymała w otwartej szufladzie, oraz cenne futro otrzymane w prezencie ślubnym. Sędziemu i jego żonie zabrano biżuterie i pieniądze. Najbardziej ucierpiała pani Carmichael. Przepadły nie tylko jej cenne klejnoty, ale i olbrzymia suma pieniędzy, które trzymała w domu. Janet miała wówczas wychodne, a jej pani zwykła spacerować po ogrodzie o zmroku, zwołując ptaki i syjąc im okruszki. Było jasne, że Mary miała klucze do wszystkich mieszkań!

Trzeba przyznać, że mieszkańcy St. Mary Mead odczuli pewną, niezbyt chwalebłą, przyjemność. Panna Lavinia tak bardzo przechwalała się swoją idealną służącą.

A ona była zwyczajną złodziejką!

Nadeszły kolejne rewelacje. Nie dość, że Mary rozplynęła się bez śladu, ale i agencja, przez którą ją zatrudniono i która za nią poręczyła, znalazła się w tarapatkach. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi Mary Higgins, która zgłosiła się do nich z referencjami, nigdy nie istniała. Osoba o tym nazwisku służyła u siostry dziekana i przez cały czas żyła sobie spokojnie w Kornwalii.

— Wszystko zostało sprytnie zaplanowane — musiał przyznać inspektor Slack. — Według mnie ta kobieta należy do gangu. Podobna historia zdarzyła się w zeszłym roku w Northumberland. Nigdy nie trafiono na ślad służącej i nigdy jej nie złapano. Ale my w Much Benham sprawimy się lepiej!

Inspektor Slack zawsze ufał we własne siły.

Mimo to mijały tygodnie, a Mary Higgins triumfowała na wolności. Inspektor Slack daremnie podwoił energię, której zaprzeczało jego nazwisko\*.

Panna Lavinia rozpaczała. Emily była rozdrażniona i tak zaniepokojona stanem swojego zdrowia, że wezwała doktora Haydocka.

Cała wioska chciała by wiedzieć, co doktor sądzi o chorobie panny Emily, ale oczywiście nie można go było o to zapytać. Satysfakcjonujących informacji na ten temat udzielił wreszcie pan Meek, asystent aptekarza, który chodził z pokojówką pani Price–Ridley, Clarą. Mieszkańcy St Mary Mead dowiedzieli się, że doktor Haydock przepisał pacjentce miksturę z żywicy i waleriany, która według pana Meeka była typowym lekarstwem dla symulantów w wojsku.

Wkrótce potem dowiedziano się, że panna Emily nie zasmakowała w lekarstwie i obwieściła, iż z uwagi na swoje zdrowie czuje się w obowiązku przenieść się bliżej londyńskich specjalistów, którzy potrafią zrozumieć jej chorobę. Jak powiedziała, czyni tak ze względu na Lavinie.

Mieszkanie postanowiono odnająć.

Parę dni później na posterunek policji w Much Benham zgłosiła się zaróżowiona z podniecenia panna Marple, pytając o inspektora Slacka.

Inspektor nie lubił panny Marple. Wiedział jednak, że komisarz okręgu, pułkownik Melchett, nie podziela jego opinii. Dlatego też, choć niechętnie, zgodził się przyjąć starszą panią.

— Dzień dobry, panno Marple. Co mogę dla pani zrobić?

— Och, mój Boże. Na pewno jest pan bardzo zajęty — powiedziała panna Marple.

— Mamy mnóstwo pracy — odparł inspektor Slack — ale mogę poświęcić pani kilka minut.

— Mam nadzieję, że uda mi się wyłożyć to jasno. Tak trudno jest wyjaśnić, o co nam chodzi, prawda? Chociaż nie, pan chyba tak nie uważa. Ale ja nie otrzymałam nowoczesnego wykształcenia. Uczyła mnie guwernantka. Mam ogólną wiedzę, znam daty panowania królów Anglii, trzy typy chorób zbóż: rdzę zbożową, mączniak i... co było trzecią... śnieć?

— Czy przyszła pani porozmawiać o śnieci? — spytał inspektor Slack i zaraz się zarumienił.

— Och, nie — panna Marple pośpiesznie wyparła się jakiegokolwiek chęci poruszania tego problemu. — To miał być tylko przykład — wyjaśniła. — Wiem, jak się robi igły, ale nigdy nie uczono mnie, jak trzymać się jednego tematu. A to właśnie zamierzam zrobić. Chodzi mi o Gladys, pokojówkę panny Skinner.

— Mary Higgins — poprawił ją inspektor Slack.

— Tak nazywała się ta druga. Ale ja mówię o Gladys Holmes. Jest dość bezczelna i za bardzo zadowolona z siebie, ale absolutnie uczciwa i tego trzeba dowieść.

— O ile wiem, nie wysunięto przeciwko niej żadnego oskarżenia — zauważył inspektor.

— Wiem, że nie oskarżono jej, ale tym gorzej. Widzi pan, ludzie zawsze coś sobie wyobrażają. Och, mój Boże, wiedziałam, że tego nie wytłumaczę. Chodzi mi o to, że trzeba odszukać Mary Higgins.

— Z pewnością — powiedział policjant. — Ma pani jakiś pomysł?

— Szczerze mówiąc, tak. Mogę o coś zapytać? Czy przydadzą się panu odciski palców?

— Tu nas przechytrzyła — przyznał inspektor. — Najwyraźniej pracowała przeważnie w gumowych rękawiczkach. I bardzo uważała. Wytarła dokładnie zlew i meble w swojej sypialni. W całym domu nie znaleźliśmy ani jednego odcisku palców!

— A gdyby pan znalazł, czy to by coś pomogło?

— Prawdopodobnie, proszę pani. Może rozpoznaliby je w Scotland Yardzie. Według mnie to nie jest jej pierwsza robota.

Panna Marple potaknęła energicznie. Otworzyła torebkę i wyjęła małe kartonowe pudełko. W środku leżało owinięte watą lusterko.

— Są na nim odciski palców pokojówki — powiedziała. — Powinny być wyraźne. Chwilę wcześniej dotykała czegoś bardzo lepkiego.

Inspektor Slack otworzył szeroko oczy.

— Podsunęła jej pani to lusterko celowo?

— Oczywiście.

— Podejrzewała ją pani?

— Widzi pan, uderzyło mnie, że wydawała się aż za dobra na to, by była prawdziwa. Powiedziałam o tym panie Lavinii. Ale ona nie zrozumiała aluzji. Obawiam się, inspektorze, że po prostu nie wierzę w ideały. Większość z nas ma jakieś wady, a te bardzo szybko wychodzą na jaw u służby.

— No cóż — zaczął inspektor Slack, odzyskując równowagę — jestem pani bardzo zobowiązany. Wyślemy to do Yardu i zobaczymy, co powiedzą. Urwał, ponieważ panna Marple przechyliła głowę i spojrzała na niego znacząco.

— Nie chciałby pan rozejrzeć się bliżej domu?

— O czym pani mówi?

— Trochę trudno to wyjaśnić. Po prostu przeważnie zauważa się coś niezwykłego, jeśli się na to natknąć. Choć często osobliwości okazują się błahostkami. Czułam to przez cały czas. Mówię o Gladys i o broszce. To uczciwa dziewczyna i nie ona wzięła broszkę. Dlaczego więc panna Skinner ją oskarżała? Nie jest głupia, wręcz przeciwnie. Dlaczego chciała pozbyć się dobrej pokojówki, skoro tak trudno o służbę? To było bardzo dziwne. Zaczęłam się zastanawiać i sporo nad tym myślałam. Zdziwiła mnie kolejna rzecz: panna Emily jest hipochondryczką, ale chyba jedyną, która nie wzywa lekarza. A przecież hipochondrycy uwielbiają lekarzy.

— Co pani sugeruje?

— Według mnie panna Lavinia i panna Emily to dziwne osoby. Panna Emily niemal cały czas



przebywa w ciemnym pokoju. I zjem własną treskę, jeśli to, co ma na głowie, nie jest peruką! Całkiem możliwe, że chuda, blada, siwowłosa, wiecznie narzekająca kobieta jest tą samą osobą, co czarnowłosa, rumiana, pulchna służąca. Nie znam nikogo, kto by kiedykolwiek widział pannę Emily i Mary Higgins razem. Miały mnóstwo czasu, by zdobyć odciski wszystkich kluczy i dowiedzieć się sporo o pozostałych lokatorach. A potem pozbyły się miejscowej służącej. Panna Emily przeszła nocą przez wioskę i następnego dnia pojawiła się na dworcu jako Mary Higgins. A w odpowiednim momencie Mary Higgins zniknęła, powodując sporo krzyku i zamieszania. Powiem panu, gdzie ją pan znajdzie, inspektorze. Na sofie panny Emily Skinner! Proszę wziąć jej odciski palców, jeśli mi pan nie wierzy, ale przekona się pan, że mam rację. Panny Skinner to sprytne złodziejki i bez wątpienia działają w porozumieniu z jakimś paserem. Ale tym razem się im nie uda! Nie zamierzam pozwolić, by oczerniano jedną z naszych dziewcząt. Gladys Holmes jest uczciwa jak szczerze złoto i wszyscy muszą się o tym dowiedzieć! Żegnam pana!

Panna Marple wyszła, zanim inspektor Slack zdołał się otrząsnąć.

— Ciekawe, czy ma rację — wymamrotał.

Wkrótce odkrył, że panna Marple po raz kolejny nie pomyliła się.

Pułkownik Melchett pogratulował Slackowi skuteczności, a panna Marple zaprosiła Gladys na herbatkę wraz z Edną i poradziła jej, by ustatkowała się, skoro odzyskała już dobre imię.

# Opowiadanie panny Marple

Chyba nigdy nie opowiadałam wam, moi drodzy, ani tobie, Raymondzie, ani tobie, Joan, o dziwnym wydarzeniu sprzed paru lat. Nie chcę wydać się próżna, wiem oczywiście, że w porównaniu z takimi młodymi ludźmi jak wy wcale nie jestem mądra. Raymond pisze nowoczesne książki o niezbyt sympatycznych młodych mężczyznach i kobietach, a Joan maluje godne uwagi portrety kwadratowych ludzi z dziwacznymi wybrzuszeniami. Jesteście bardzo mądrzy, ale jak Raymond zawsze powtarza (życzliwie, bo to najmilszy z bratanków): ja jestem wprost beznadziejnie anachroniczna. Podziwam pana Alma-Tademę i Frederica Leightona, a wam oni pewnie wydają się okropnie *vieux jeu*. O czym to ja mówiłam? A tak, że nie chcę wydać się próżna, choć nic nie poradzę na to, że czułam się ociupinkę dumna z siebie, kiedy to jedynie dzięki zdrowemu rozsądkowi rozwiązałam problem, z którym nie mogły poradzić sobie głowy mądrzejsze od mojej. Tak naprawdę wszystko było jasne od samego początku...

No cóż, po prostu opowiem wam moją historię, a jeśli osądzicie, że robię się zarozumiała, pamiętajcie, że w każdym razie pomogłam przynajmniej osobie, która znalazła się w poważnych tarapatach.

Po raz pierwszy usłyszałam o tym pewnego wieczoru. Było gdzieś koło dziewiątej, kiedy Gwen — pamiętacie Gwen? To moja mała, rudowłosa pokojówka — ...no więc Gwen przyszła do mnie, mówiąc, że pan Petherick i jeszcze jakiś dżentelmen chcą się ze mną widzieć. Wprowadziła ich do salonu, jak należało. Ja siedziałam w jadalni, ponieważ uważam, że byłoby wielkim marnotrawstwem palić w dwóch kominkach wczesną wiosną.

Kazałam Gwen przynieść wiśniówkę i kieliszki, a sama pośpieszyłam do salonu. Pamiętacie pana Pethericka? Zmarł dwa lata temu. Był moim wieloletnim przyjacielem i zajmował się moimi finansami. Bardzo bystry człowiek i mądry prawnik. Teraz moje interesy prowadzi jego syn, miły chłopiec, bardzo nowoczesny, ale jakoś nie mam do niego tyle zaufania, ile miałam do pana Pethericka.

Wyjaśniłam panu Petherickowi sprawę kominków, a on natychmiast postanowił, że przejdą z przyjacielem do jadalni. Potem przedstawił mi swego towarzysza. Nazywał się Rhodes. Był to dość młody człowiek, niewiele po czterdziestce. Zaraz zauważyłam, że było z nim coś nie w porządku. Zachowywał się dziwnie. Można by rzec, że nieuprzejmie, gdyby nie dostrzegło się, że biedak jest w straszliwym stresie.

Kiedy; usiedliśmy w jadalni i Gwen przyniosła wiśniówkę, pan Petherick wyjaśnił powód swej wizyty.

— Panno Marple — zaczął — musi pani wybaczyć staremu przyjacielowi. Przyszedłem do pani po radę.

Zupełnie nie rozumiałam, o co mu chodzi, a on ciągnął dalej:

— W razie choroby pacjent woli uzyskać dwie opinie: specjalisty i lekarza domowego. Zgodnie z modą bardziej poważa się pierwszego, ale ja bym się z tym nie zgodził. Specjalista ma doświadczenie tylko w swojej branży, a lekarz rodzinny ma być może mniejszą wiedzę, ale szersze doświadczenie.

Wiedziałam, co miał na myśli, ponieważ nie tak dawno moja siostrzenica pośpieszyła z dzieckiem do znanego specjalisty chorób skórnych, nie skonsultowawszy się ze swoim lekarzem, którego uważała za zgrzybiałego starca. Specjalista zalecił bardzo drogą terapię, a później stwierdził, że dziecko cierpi po prostu na nietypową odmianę świnki.

Wiem, że za często zbaczam z tematu, ale musiałam o tym wspomnieć, żeby udowodnić, iż rozumiem punkt widzenia pana Pethericka. Nadal jednak nie miałam pojęcia, do czego zmierzał.

— Jeśli pan Rhodes jest chory — zaczęłam i zaraz przerwałam, ponieważ ten biedak roześmiał się przeraźliwie.

— Prawdopodobnie umrę ze skręconym karkiem w ciągu najbliższych miesięcy — powiedział.

Wyjaśniono mi wszystko. Otóż niedawno w Barnchester, miasteczku leżącym jakieś dwadzieścia mil od nas, doszło do morderstwa. Wówczas sprawa ta nie przyciągnęła mojej uwagi, gdyż w naszej wiosce było sporo zamieszania w związku z okręgową pielęgniarką. Wydarzenia w wielkim świecie, takie jak trzęsienie ziemi w Indiach czy morderstwo w Barnchester, choć w rzeczywistości dużo ważniejsze oczywiście, musiały ustąpić naszym własnym, lokalnym aferom. Obawiam się, że tacy właśnie są mieszkańcy małych miejscowości. Mimo to pamiętam, że czytałam o kobiecie zadźganej nożem w hotelu. Nie przypominałam sobie jej nazwiska. Teraz okazało się, że była to żona pana Rhodesa, i jakby nie dość na tym, podejrzewano, że to on ją zabił.

Wszystko to pan Petherick jasno mi wyłożył. Chociaż koroner orzekł morderstwo przez osobę lub osoby nieznane, pan Rhodes miał powody spodziewać się, że w ciągu najdalej dwóch dni zostanie aresztowany. Zjawił się u pana Pethericka i oddał w jego ręce. Tego samego popołudnia — opowiadał dalej pan Petherick — udali się po poradę do sir Malcolma Olde, doradcy królewskiego. Sir Malcolm zgodził się bronić pana Rhodesa, jeśli sprawa trafi do sądu.

Pan Petherick wyjaśnił, że adwokat był młodym człowiekiem, działającym według nowoczesnych metod. Wskazał pewną linię obrony, lecz nie całkiem zadowalała ona pana Pethericka.

— Musi pani wiedzieć, droga panno Marple — powiedział — że jest ona skażona tym, co nazywam specjalistycznym punktem widzenia. Jeśli przedstawić sir Malcolmowi sprawę, zobaczy tylko jedno: najbardziej prawdopodobną linię obrony. Lecz nawet najlepsza linia obrony może pomijać to, co nazywam kwestią główną. Otóż nie bierze się w niej pod uwagę tego, co wydarzyło się naprawdę.

Potem rzucił kilka niezwykle miłych i pochlebiających mi słów o mojej wnikliwości, sądach i znajomości natury ludzkiej. Prosił, bym pozwoliła mu opowiedzieć całą historię, i wyraził nadzieję, iż być może zasugeruję jakieś rozwiązanie.

Widziałam, że pan Rhodes sceptycznie potraktował możliwość, iż przydam się na cokolwiek. Był wręcz zły, że go do mnie przyprowadzono. Jednak pan Petherick nie zwracał na niego uwagi i przystąpił do przedstawienia tego, co wydarzyło się nocą ósmego marca.

Państwo Rhodes zatrzymali się w Crown Hotel w Barnchester. Pani Rhodes (jak rozumiałam z ostrożnych słów pana Pethericka) była trochę hipochondryczką i natychmiast po kolacji położyła się do łóżka. Zajmowali dwa pokoje połączone drzwiami. Pan Rhodes, który pisze książkę o skałach narzutowych, zasiadł do pracy w drugim pokoju. O jedenastej poskładał papiery i zaczął szykować się do spania. Przedtem jeszcze zajrzał do pokoju żony, by upewnić się, czy niczego nie potrzebuje. Światło w jej pokoju paliło się, a ona leżała na łóżku z sercem przeszytym nożem. Nie żyła od godziny, prawdopodobnie nawet dłużej. Później poczyniono następujące spostrzeżenia: W pokoju pani Rhodes były jeszcze jedne drzwi, wychodzące na korytarz. Zamknięto je na klucz i zaryglowano od środka. Jedyne okno było zamknięte. Według pana Rhodesa nikt nie przechodził przez jego pokój poza pokojówką z termoforem. Pozostawiona w ciele ofiary broń okazała się sztyletem, który wcześniej leżał na toalecie pani Rhodes. Używała go jako noża do papieru. Nie pozostawiono na nim żadnych odcisków.

Rzecz sprowadzała się do tego, że nikt poza panem Rhodesem i pokojówką nie wchodził do pokoju ofiary.

Spytałam o pokojówkę.

— Właśnie w tym kierunku poszło najpierw nasze śledztwo — odparł pan Petherick. — Mary Hill pochodziła z Barnchester. W hotelu pracowała od dziesięciu lat. Nie miała żadnych powodów, by raptem zaatakować kogoś z gości. W każdym razie jest nieprzeciętnie głupia, prawie że niedorozwinięta umysłowo. Ani razu nie zmieniła zeznań. Przyniosła termofor pani Rhodes, która już zasypiała. Uczciwie mówiąc, sam nie wierzę i z pewnością żadna ława przysięgłych nie uwierzy, że to ona popełniła zbrodnię.

Pan Petherick dorzucił jeszcze kilka szczegółów. Na szczycie klatki schodowej znajduje się niewielki salonik, gdzie goście mogą wypić kawę. Korytarz skręca dalej w prawo, a drzwi na jego końcu prowadzą do pokoju zajmowanego przez pana Rhodesa. Potem hol znów skręca ostro w prawo, a pierwsze drzwi za rogiem to drzwi do pokoju pani Rhodes. Tak się złożyło, że jedne i drugie widzieli wówczas świadkowie. Pierwsze, do pokoju pana Rhodesa, które będę nazywać drzwiami A, widziały cztery osoby: dwóch komiwojażerów i starsze małżeństwo. Akurat wtedy pili kawę. Według nich nikt poza panem Rhodesem i pokojówką nie otwierał drzwi A. Jeśli idzie o drugie drzwi, w dalszej części korytarza, to w ich pobliżu pracował elektryk. On też przysięga, że nikt oprócz pokojówki nie wchodził ani nie wychodził przez drzwi B.

Był to z pewnością bardzo dziwny i interesujący wypadek. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że pan Rhodes po prostu musiał zamordować swoją żonę. Lecz widziałam, że pan Petherick był przekonany o niewinności swojego klienta, a pan Petherick celował w bystrości umysłu.

Podczas przesłuchania pan Rhodes z wahaniem przedstawił niezbyt spójną historyjkę o tym, że pewna kobieta pisała do jego żony listy z pogrózkami. Jak rozumiałam, jego opowieść była wysoce nieprzekonująca. Na prośbę pana Pethericka zaczął mi to wyjaśniać.

— Szczerze mówiąc, sam w to nigdy nie ‘wierzyłem — wyznał. — Sądziłem, że Amy wszystko sobie wymyśliła.

Pani Rhodes riależała do gatunku romantycznych blagierów, którzy idą przez życie koloryzując wszystko, co się im przydarzy. Liczba przygód, jakie według jej słów spotkały ją w ciągu roku, była wprost niewiarygodna. Jeśli pośliznęła się na skórcie od banana, to otarła się o śmierć. Jeśli zapalił się abażur lampy, to uratowano ją z płonącego budynku, w którym omal nie zginęła. Jej mąż przywykł przyjmować jej opowieści z pewnymi zastrzeżeniami. Po prostu nie zwrócił uwagi na twierdzenie żony, jakoby pewna kobieta, której dziecko pani Rhodes potrafiła jadąc samochodem, poprzysięgła jej zemstę. Zdarzyło się to jeszcze przed ich ślubem. Czytała mu dość dziwacznie sformułowane listy, ale pan Rhodes podejrzewał, że sama je napisała. Zrobiła już coś takiego raz czy dwa razy przedtem. Miała histeryczne usposobienie i bez ustanku poszukiwała ekscytujących doznań. Wszystko to uznałam za dość typowe — w naszej wiosce mieszka młoda kobieta, zachowująca się bardzo podobnie. Niebezpieczeństwo polega na tym, że jeśli takim ludziom rzeczywiście przytrafi się coś niezwykłego, nikt im nie wierzy. Wydawało mi się, że to właśnie się stało w tym wypadku. Policja uznała, że pan Rhodes wymyślił tę nieprzekonującą bajeczkę, by odsunąć od siebie podejrzania.

Zapytałam, czy w hotelu zatrzymała się jeszcze jakaś kobieta. Były dwie: pani Granby, wdowa angielsko-hinduskiego pochodzenia, oraz panna Carruthers, dość grubiańska stara panna, która połykała końcówki wyrazów. Pan Petherick dodał, że mimo niezwykle dokładnego śledztwa nie znaleziono nikogo, kto widziałby którąś z nich w pobliżu miejsca zbrodni. Nikt też nie potrafił w jakikolwiek sposób połączyć żadnej z kobiet z morderstwem. Poprosiłam, by opisał mi ich wygląd. Otóż pani Granby, osoba pięćdziesięcioletnia, miała rudawe, nieporządnie upięte włosy ł ziemistą cerę. Ubierała się dość malowniczo, głównie w naturalne jedwabie. Panna Carruthers miała około czterdziestu lat, włosy obcięte krótko jak mężczyzna, nosiła pince-nez, a jej strój stanowiły spódnica i męska marynarka.

— To bardzo utrudnia sprawę — orzekłam. Pan Petherick spojrzał na mnie pytająco, ale wówczas nie chciałam jeszcze nic zdradzić i spytałam, co powiedział sir Malcolm Olde.

Sir Malcolm był pewien, że zdoła dowieść sprzeczności w orzeczeniu medycznym i zasugerować jakiś sposób ominięcia kłopotliwej kwestii odcisków palców. Zapytałam, co sądzi o tym pan Rhodes, a on odparł, że wszyscy lekarze to idioci, a on sam nie wierzy, iżby jego żona popełniła samobójstwo. „Nie należała do tego typu kobiet” — powiedział, a ja mu uwierzyłam. Histerycy nie popełniają samobójstw.

Zastanowiłam się przez chwilę i spytałam, czy drzwi pokoju pani Rhodes prowadzą prosto na korytarz. Pan Rhodes zaprzeczył. Wiodły do małego przedpokoju z łazienką i toaletą. Właśnie drzwi z sypialni do przedpokoju zaryglowano od środka.

— W takim razie — powiedziałam — wszystko wydaje się ogromnie proste.

I wiecie, rzeczywiście było... to była najprostsza rzecz pod słońcem. A jednak nikt tego nie zauważył.

Obaj panowie wpatrywali się we mnie tak, że poczułam się zakłopotana.

— Być może — odezwał się pan Rhodes — panna Marple nie doceniła naszych trudności.

— Myślę, że doceniłam — odparłam. — Istnieją cztery możliwości. Albo panią Rhodes zabił mąż, albo pokojówka, albo też popełniła samobójstwo. Wreszcie mogła zostać zabita przez kogoś z zewnątrz, kto wszedł i wyszedł z jej sypialni nie zauważony.

— A to jest niemożliwe — wtrącił pan Rhodes. — Nikt nie mógł przejść przez mój pokój tak, żebym go nie widział, a gdyby nawet ktoś wszedł do pokoju mojej żony i elektryk by go nie zauważył, jak u diabła wy dostałby się, zamykając drzwi od środka?

Pan Petherick spojrzał na mnie i spytał zachęcającym tonem:

— No więc, panno Marple?

— Muszę o coś zapytać — powiedziałam. — Panie Rhodes, jak wyglądała pokojówka?

Nie był pewien. Dość wysoka, ale nie pamiętał koloru jej włosów. Zadałam to samo pytanie panu Petherickowi.

Według niego pokojówka była kobietą średniego wzrostu, miała jasne włosy, niebieskie oczy i zdrowe rumieńce.

— Jest pan lepszym obserwatorem ode mnie — zauważył pan Rhodes.

Odważyłam się zaprzeczyć. Spytałam pana Rhodesa, czy potrafi opisać moją pokojówkę. Ani on, ani pan Petherick nie byli w stanie tego zrobić.

— Czy nie widzą panowie, co to oznacza? — spytałam. — Przyszliście do mnie pochłonięci własnymi sprawami, a osoba, która wpuściła was do domu była zwyczajną pokojówką. Tak samo zachował się pan Rhodes w hotelu. Zauważył uniform i fartuszek. Był pogrążony w pracy. Pan Petherick rozmawiał z pokojówką oceniając ją pod innym kątem. Widział w niej konkretną osobę. Na to liczyła morderczyni.

Ponieważ wciąż mnie nie rozumieli, musiałam wyjaśniać dalej.

— Myślę — ciągnęłam — że wszystko wydarzyło się w następujący sposób: Pokojówka weszła drzwiami A, przeszła z termoforem przez pokój pana Rhodesa do sypialni pani Rhodes, po czym wyszła do przedpokoju i do holu drzwiami B. Natomiast X — tak nazwę morderczynię — weszła do przedpokoju drzwiami B, ukryła się w... hm... pewnym pomieszczeniu i zaczęła, dopóki pokojówka nie wyszła. Potem weszła do pokoju pani Rhodes, wzięła sztylet z toaletki (bez wątplenia zbadała pokój wcześniej tego samego dnia), podeszła do łóżka i zabiła śpiącą kobietę, wytarła trzonek noża, zamknęła na klucz i na zatrzask drzwi, którymi weszła do środka, i wyszła przez pokój, gdzie pracował pan Rhodes.

— Przecież bym ją zobaczył! — wykrzyknął pan Rhodes. — A elektryk zauważyłby, jak wchodzi.

— Nie — odparłam. — Tu właśnie się pan myli. Nie widziałby jej pan, gdyby była ubrana jak

pokojówka.

Kiedy zaczął rozumieć, podjęłam wyjaśnienia.

— Był pan pochłonięty swoją pracą. Kątem oka zauważył pan, że do sypialni pana żony wchodzi pokojówka i po chwili wychodzi. Widział pan taką samą sukienkę, ale nie była to ta sama kobieta. To właśnie zobaczyli goście pijący kawę: pokojówkę wchodzącą i wychodzącą z pokoju. Podobnie i elektryk. Jestem pewna, że gdyby pokojówka była ładna, któryś z panów zwróciłby uwagę na jej twarz. Taka już jest ludzka natura. Lecz jeśli była to przeciętna kobieta w średnim wieku... Po prostu wszyscy dostrzegli strój pokojówki, a nie samą kobietę.

— Kim była? — zawołał pan Rhodes.

— Cóż, z tym będzie trochę trudniej — powiedziałam. — Albo pani Granby, albo panna Carruthers. Wygląda na to, że pani Granby nosiła perukę. Tak więc ze swoimi własnymi włosami mogłaby udawać pokojówkę. Z drugiej strony panna Carruthers ze swoją krótką fryzurą z łatwością mogłaby nałożyć perukę i odegrać rolę. Na pewno odkryjecie bez trudu, która jest winna. Ja osobiście skłaniam się ku panie Carruthers.

I to, moi drodzy, właściwie koniec całej historii. Okazało się, że nazwisko Carruthers było fałszywe, a morderstwo popełniła osoba, która je przybrała. Miała kilku psychicznie chorych krewnych w rodzinie. Pani Rhodes, bardzo nieostrożny i niebezpieczny kierowca, potrąciła samochodem jej córkę, co doprowadziło biedaczkę do utraty zmysłów. Sprytnie ukrywała swoje szaleństwo, ujawniając je tylko w niezrównoważonych listach do przyszłej ofiary. Śledziła ją od jakiegoś czasu i ułożyła sobie dokładny plan zbrodni. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła następnego ranka, było wysłanie paczki z peruką i strojem pokojówki. Kiedy przedstawiono jej fakty, załamała się i od razu wszystko wyznała. Przebywa teraz w Broadmoor. Biedaczka była obłąkana, ale zbrodnię zaplanowała bardzo sprytnie.

Pan Petherick odwiedził mnie w jakiś czas później i przyniósł przemiły list od pana Rhodesa. Aż się zarumieniłam. Na koniec powiedział:

— Jeszcze tylko jedno. Dlaczego sądziła pani, że Carruthers jest bardziej prawdopodobna niż Granby? Nie widziała pani żadnej z nich.

— To te końcówki. Mówił pan, że połykała końcówki wyrazów. W książkach robią to często myśliwi, ale nie znam zbyt wielu osób, które robiłyby to w rzeczywistości. A już na pewno nikogo poniżej sześćdziesiątego roku życia. Mówił pan, że ta kobieta ma czterdzieści lat. Wyglądało mi na to, że odgrywa jakąś rolę i wyraźnie przesadza.

Nie powiem wam, co odpowiedział pan Petherick, ale złożył mi gratulacje i nie mogłam nie odczuć choć ociupinki zadowolenia z samej siebie.

To zadziwiające, jak wszystko obraca się na dobre. Pan Rhodes ożenił się powtórnie z miłą, rozsądną dziewczyną. Mają małe dziecko i — pomyślcie tylko — poprosili, bym była jego chrzestną matką! Czy to nie miłe z ich strony?

Mam nadzieję, że moja opowieść nie była zbyt długa...



# Lalka krawcowej

Lalka siedziała na szerokim, obitym aksamitem krześle. W pokoju panował półmrok; londyńskie niebo zasnuły chmury. W łagodnym, szarym świetle odcienie zielonych obić, zasłon i dywaników blakły i zlewały się ze sobą. Wydawało się, że i lalka zlewa się z otoczeniem. Miała ubranko z zielonego aksamitu, aksamitną czapkę i pomalowaną buzię. Była to maskotka, którą dla kaprysu kupują bogate kobiety. Taką lalkę sadza się zwykle obok aparatu telefonicznego albo wśród poduszek na sofie. Z rozrzuconymi ramionami wydawała się bezwładna, a jednocześnie niemal... żywa. Wyglądała na dekadencją zabawkę XX wieku.

Sybil Fox, która wbiegła do pokoju niosąc wzory materiałów i projekt sukni, popatrzyła na lalkę z zaskoczeniem. Zdziwiło ją... lecz cokolwiek to było, nie zostało jasno sformułowane. Bowiem Sybil zastanawiała się właśnie,; co się stało z niebieskim aksamitem.

— Gdzież ja go położyłam? — powiedziała do siebie. — Na pewno był tu gdzieś przed chwilą.

Wyszła na podest i krzyknęła w górę, do pracowni:

— Elspeth, masz u siebie niebieski aksamit? Pani Fellows–Brown zjawi się lada moment.

Wróciła do pokoju i włączyła światło. Ponownie spojrzała na lalkę.

— Gdzież u diabła... a, tu jest — podniosła materiał, który wcześniej upuściła.

Z holu dobiegł zgrzyt zatrzymującej się na piętrze windy. Po minucie do pokoju weszła pani Fellows–Brown, sapiąc jak podmiejska kolejka hamująca na stacji. Przy jej nodze dreptał pekińczyk.

— Lada moment lunie jak z cebra — oznajmiła.

Zdjęła niedbale rękawiczki i futro.

Weszła Alicja Coombe. Ostatnio nie zawsze schodziła, chyba że pojawiali się specjalni klienci, a do takich należała pani Fellows–Brown.

Elsbeth, kierowniczką pracowni, zeszła niosąc suknie. Sybil włożyła ją pani Fellows–Brown przez głowę.

— Proszę — powiedziała. — Chyba pasuje. Tak, leży wprost idealnie.

Pani Fellows–Brown obróciła się bokiem i przejrzała w lustrze.

— Muszę przyznać, że wasze sukienki rozwiązują problem szerokich bioder.

— Jest pani o wiele szczuplejsza niż trzy miesiące temu — zapewniła ją Sybil.

— Wcale nie — odparła pani Fellows–Brown. — Choć w tej sukience tak wyglądam. Zawsze udaje się wam dobrać krój, w którym moja pupa zmniejsza objętość. Wyglądam niemal tak, jakbym jej wcale nie miała. To znaczy tylko taką, jaką ma większość ludzi.

Westchnęła i pieszczotliwie przesunęła dłońmi po kłopotliwej części swego ciała.

— To była od zawsze moja pięta Achillesa — wyznała. — Przez lata mogłam zmniejszyć optycznie pupę, wypinając brzuch. Teraz to już niestety niemożliwe: mam i pupę, i brzuch. No a obu stron nie da rady wciągnąć, prawda?

Alicja Coombe powiedziała:

— Powinna pani zobaczyć niektóre moje klientki!

Pani Fellows–Brown przeszła się parę kroków.

— Brzuch jest gorszy od pupy — stwierdziła. — Bardziej go widać. Przynajmniej takie ma się wrażenie. To dlatego, że rozmawiając z kimś stoi się naprzeciwko niego, twarzą w twarz. Chodzi mi o to, że rozmówca nie widzi pupy, natomiast dokładnie widzi brzuch. Ja z zasady wciągam brzuch i pozwalam, by pupa sama troszczyła się o siebie.

Wykręciła mocniej szyję i zawołała nagle:

— Ach, ta wasza lalka! Ciarki mnie przechodzą na jej widok. Od kiedy ją macie?

Sybil popatrzyła niepewnie na Alicję Coombe, która była zaskoczona i trochę zdezorientowana.

— Właściwie nie wiem... od jakiegoś czasu... Nie mam zbyt dobrej pamięci. To okropne: po prostu nic nie pamiętam. Sybil, od jak dawna ją mamy?

Sybil odpowiedziała krótko:

— Nie wiem.

— Ciarki przechodzą na jej widok — powtórzyła pani Fellows–Brown. — Niesamowita! Wygląda, jakby obserwowała nas i śmiała się w ten swój aksamitny rękaw. Na waszym miejscu pozbyłabym się jej — wstrząsnął nią dreszcz.

Potem ponownie zagłębiła się w omawianiu krawieckich detali. Czy rękawy nie powinny być o centymetr krótsze? A co z długością sukni? Kiedy powyższe punkty ustalono ku jej satysfakcji, pani Fellows–Brown pozbierała swoje rzeczy i przygotowała się do wyjścia. Mijając lalkę, znów odwróciła głowę.

— Nie — powiedziała — ta lalka mi się nie podoba. Wydaje się zbyt zadomowiona. To nienaturalne.

— O co jej chodziło? — spytała Sybil, kiedy klientka znalazła się na schodach.

Zanim Alicja Coombe zdążyła odpowiedzieć, pani Fellows–Brown ponownie zjawiała się w drzwiach.

— Dobry Boże, zupełnie zapomniałam o Fou–Lingu. Gdzie jesteś, żabciu? No coś takiego!

Wpatrzyła się w psa, podobnie jak obie krawcowe. Pekinczyk siedział przed obitym zielonym aksamitem krzesłem, gapiąc się na szmacianą lalkę. Jego mały pyszczek i wylupiaсте oczy nie wyrażały żadnych uczuć — ani zadowolenia, ani odrazy. Po prostu patrzył.

— Chodźże, skarbie mamusi — zażądała pani Fellows–Brown.

Skarb mamusi nawet nie drgnął.

— Z każdym dniem robi się coraz bardziej nieposłuszny — powiedziała pani Fellows–Brown takim tonem, jakby wyliczała kolejną zaletę psa.

— Daj spokój, Fou–Ling. Pyszna wątróbeczka czeka na pieseczka.

Fou–Ling odwrócił pyszczek może o milimetr, a potem lekceważąc swoją panią powrócił do obserwowania lalki.

— Widać, że wywarła na nim wrażenie — powiedziała pani Fellows–Brown. — Chyba nie zauważył jej przedtem. Tak jak ja. Czy była tu podczas mojej poprzedniej wizyty?

Obie krawcowe wymieniły spojrzenia. Sybil zmarszczyła brwi, a Alicja Coombe odpowiedziała z namysłem:

— Mówiłam już pani. O wszystkim zapominam. Od kiedy ją mamy, Sybil?

— Skąd ją wzięłyście? — spytała pani Fellows–Brown.

— Kupiłyście ją?

— Ależ nie — Alicję Coombe zaszokował sam pomysł.

— Przypuszczam, że ktoś mi ją dał — pokręciła bezradnie głową. — Można oszaleć! — wykrzyknęła. — Wszystko natychmiast wylatuje mi z pamięci.

— Nie wygłupiaj się, Fou–Ling — rzuciła ostro pani Fellows–Brown. — Chodźże już. Będę musiała cię zabrać.

Podniosła psa z podłogi. Fou–Ling szczechnął krótko w bolesnym proteście. Kiedy pani Fellows–Brown wychodziła z pokoju, wylupiaсте oczy pekinczyka, widoczne znad jej okrytego puszystym futrem ramienia, wciąż wpatrywały się z ogromną uwagą w lalkę na krześle...

— Dostaję gęziej skórki na widok tej lalki — stwierdziła pani Groves.

Pani Groves była sprzątaczką. Właśnie skończyła czyścić na czworakach podłogę. Teraz na stojąco ścierała kurze z mebli.

— To zabawne — ciągnęła — nie zauważyłam jej aż do wczoraj. A potem spostrzegłam nagle, że tu siedzi.

— Nie podoba się pani? — spytała Sybil.

— No przecież mówię. Dostaję gęziej skórki na jej widok. To nienormalne, jeśli wie pani, o co mi chodzi. Te długie nogi i sposób, w jaki się rozsiadła, a jeszcze ten jej przebiegły wzrok... Nie, nie, nie. To mi nie wygląda normalnie.

— Nigdy wcześniej nie wspominała pani o niej —zauważyła Sybil.

— Mówię przecież, że jej nie zauważyłam, aż dopiero dzisiaj rano... Wiem oczywiście, że była tu wcześniej, ale... — urwała zakłopotana. — Coś takiego może się przyśnić w nocy.

Zebrała ścierki i pasty do podłóg. Wyszła z przymierzalni i przeszła holem do pokoju po drugiej stronie.

Sybil patrzyła na siedzącą na krześle lalkę, a jej twarz wyrażała rosnące zmieszanie. Odwróciła się gwałtownie, kiedy weszła Alicja Coombe.

— Panno Coombe, jak długo ma pani to coś?

— Co, lalkę? Moja droga, dobrze wiesz, że zapominam o wszystkim. Tak głupio się z tym czuję! Wczoraj szłam na wykład i w połowie ulicy nagle uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, dokąd idę. Myślałam i myślałam. Wreszcie powiedziałam sobie, że na pewno do Fortnums. Wiedziałam, że coś chciałam tam kupić. Nie uwierzysz mi, ale dopiero kiedy wróciłam do domu i usiadłam do herbaty, przypomniałam sobie o wykładzie. Zawsze słyszałam, że ludzie dziecinnieją na starość, ale jak dla mnie dzieje się to stanowczo zbyt szybko. Teraz nie pamiętam, gdzie zostawiłam torebkę. I okulary. Gdzież ja je położyłam? Miałam je przed chwilą, bo czytałam „Timesa”.

— Są na kominku — powiedziała Sybil, wręczając jej szkła. — Skąd ma pani tę lalkę? Od kogo?

— Kolejna biała plama — odparła Alicja Coombe.

— Jak sądzę, ktoś mi ją podarował albo przysłał... Idealnie pasuje do tego pokoju, prawda?

— Aż za dobrze — stwierdziła Sybil. — To śmieszne, ale nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ją po raz pierwszy zauważyłam.

— Tylko nie upodabniaj się do mnie — napomniała ją Alicja Coombe. — Jesteś na to za młoda.

— Ale naprawdę tego nie pamiętam, panno Coombe. Spojrzałam na nią wczoraj i pomyślałam, że na jej widok można dostać gęziej skórki. Pani Groves ma rację. A potem przyszło mi do głowy, że już wcześniej tak myślałam, i próbowałam sobie przypomnieć, kiedy to było. Ale nie mogłam!

Jakbym nie widziała jej nigdy przedtem, choć nie całkiem. Zupełnie jakby ona była tu od dawna, tyle że niewidoczna — aż do dzisiaj.

— Może pewnego dnia wleciała na miotle przez okno — powiedziała Alicja Coombe. — Tak czy inaczej, znalazła się na swoim miejscu.

Rozejrzała się wokoło.

— Trudno byłoby wyobrazić sobie pokój bez niej, prawda?

— Tak — zgodziła się Sybil i wstrząsnął nią lekki dreszcz — choć wolałabym, żeby było inaczej.

— Co inaczej?

— Żeby można było wyobrazić sobie pokój bez niej.

— Czy wszyscy mamy bzika na punkcie tej lalki? — rzuciła niecierpliwie Alicja Coombe. — Nie zrobiła nic złego. Według mnie trochę przypomina zwiędłą kapustę, ale to może dlatego, że nie mam okularów.

Założyła je i spojrzała uważnie na lalkę.

— Tak — powiedziała. — Wiem, o co ci chodzi. Rzeczywiście na jej widok przechodzą ciarki. Wygląda na smutną, ale jednocześnie przebiegłą i zdecydowaną.

— To dziwne — zauważyła Sybil — że pani Fellows–Brown nabrała do niej tak gwałtownej niechęci.

— Pani Fellows–Brown zawsze mówi na głos, co tylko jej przyjdzie do głowy — powiedziała Alicja Coombe.

— Ale to dziwne — upierała się Sybil — że ta lalka wywarła aż takie wrażenie.

— Zdarza się, że ludzie czują do kogoś gwałtowną niechęć.

Sybil zaśmiała się krótko.

— A może jej wcale nie było tu do wczoraj... Może, tak jak pani mówiła, wleciała przez okno i zadomowiła się tutaj.

— Nie — powiedziała Alicja Coombe. — Jestem pewna, że jest u nas od jakiegoś czasu. Może tylko do wczoraj była niewidzialna.

— Mam takie samo wrażenie: że jest tu od jakiegoś czasu. Ale mimo to nie przypominam sobie, żebym ją kiedykolwiek przedtem zauważyła,

— Dajmy już spokój, moja droga — powiedziała z ożywieniem Alicja Coombe. — Przez ciebie

mrówki zaczynają mi biegać po krzyżu. Chyba nie masz zamiaru wymyślać jakichś spirytystycznych historyjek, co? Podniosła lalkę, potrząsnęła nią, ułożyła jej ręce i usadziła na innym krześle. Lalka natychmiast osunęła się i oklapła.

— Nie ma w niej za grosz życia — oceniła Alicja Coombe, wpatrując się w zabawkę. — A jednak w jakimś sensie wydaje się żywa, prawda?

— O mało nie zemdlałam — stwierdziła pani Groves, odkurzając meble w saloniku. — Nie mam ochoty więcej tam wchodzić.

— Dlaczego? — spytała panna Coombe, pochłonięta rachunkami, które przeglądała siedząc za ustawionym w kącie biurkiem. — Ta kobieta — dodała, bardziej do siebie niż z uwagi na panią Groves — uważa, że co roku może dostać dwie suknie wieczorowe, trzy koktajlowe i kostium, nie zapłaciwszy mi ani pensa! Niektórzy ludzie są bezczelni.

— To ta lalka — wyjaśniła pani Groves.

— Co? Znowu nasza lalka?

— Siedzi tam za biurkiem, zupełnie jak człowiek. Mało nie zemdlałam.

— O czym pani mówi?

Alicja Coombe wstała, przeszła przez pokój, wyszła na korytarz i wkroczyła do pokoju naprzeciw. W rogu przymierzalni stało małe biurko Sheratona, a na krześle za nim, z ramionami wyciągniętymi na białe, siedziała lalka.

— Ktoś się musi dobrze bawić — powiedziała Alicja Coombe. — Ależ ona się usadowiła. Naprawdę wygląda całkiem naturalnie.

W tej chwili po schodach zeszła Sybil Fox, niosąc suknię do zaplanowanej na rano przymiarki.

— Podejdz tu, Sybil. Popatrz na naszą lalkę. Siedzi za moim biurkiem i pisze listy.

Obie kobiety przyjrzały się lalce.

— To staje się zbyt absurdalne — zauważyła Alicja Coombe. — Ciekawe, kto ją tu usadził. Może ty?

— Nie — zaprzeczyła Sybil. — To na pewno któraś z dziewcząt z góry.

— Głupi żart — oceniła Alicja Coombe. Podniosła lalkę i rzuciła na sofę.

Sybil ostrożnie przewiesiła suknię przez oparcie krzesła, a potem weszła na schody prowadzące do pracowni.

— Widziałyście lalkę — zaczęła — tę lalkę z aksamitu, w pokoju panny Coombe na dole?

Kierowniczka pracowni i trzy dziewczęta podniosły głowy.

— Tak, proszę pani.

— Kto posadził ją dziś rano za biurkiem? Dziewczęta popatrzyły na nią, a Elspeth, kierowniczka, powiedziała:

— Za biurkiem? Nie ja.

— Ani ja — odezwała się jedna z dziewcząt. — A ty, Marlene?

Marlene potrząsnęła przecząco głową.

— Ty wymyśliłaś ten dowcip, Elspeth?

— Ależ nie — zaprzeczyła Elspeth, osoba dość surowa. Zawsze wydawało się, że zaciska w ustach garść szpilek. — Mam za dużo pracy, żeby bawić się lalkami i sadzać je za biurkiem.

— Słuchajcie — ku zdziwieniu Sybil jej głos zadrżał nieco — to był dobry żart, tylko chciałabym dowiedzieć się, kto go wymyślił.

Trzy dziewczyny oburzyły się.

— Mówiliśmy pani, pani Fox. Żadna z nas tego nie zrobiła. Prawda, Marlene?

— Ja nie — odparła Marlene — a jeśli Nellie i Margaret mówią nie, to znaczy, że żadna z nas tego nie zrobiła. — Słyszała pani moje słowa — rzekła Elspeth. — O co w tym wszystkim chodzi, pani Fox? — dodała.

— A może to pani Groves? — podsunęła Marlene.

Sybil potrząsnęła przecząco głową. — To niemożliwe. Omal nie zemdląła na widok lalki.

— Zejdę na dół i sama sprawdzę — zaproponowała Elspeth.

— Już jej tam nie ma — powiedziała Sybil. — Panna Coombe wzięła ją z za biurka i ułożyła z powrotem na sofie. No cóż — przerwała na chwilę — chodzi mi o to, że ktoś musiał posadzić ją na krześle za biurkiem, myśląc, że to śmieszne. Tak przypuszczam. Nie rozumiem, dlaczego teraz nie chce się przyznać.

— Mówiłam pani dwa razy, pani Fox — rzekła Margaret. — Nie wiem, dlaczego upiera się pani, żeby oskarżać nas o kłamstwo. Żadna z nas nie zrobiłaby czegoś tak głupiego.

— Przepraszam — powiedziała Sybil. — Nie chciałam was zdenerwować. Ale kto inny mógł to zrobić?

— Może sama wstała i usiadła za biurkiem? — zasugerowała Marlene i zachichotała.

Sybil nie spodobała się ta sugestia.

— To się robi bez sensu — stwierdziła i zeszła na dół. Alicja Coombe mruczała do siebie dość wesoło, kręcąc się po pokoju.

— Znów zgubiłam gdzieś okulary — powiedziała. — Ale nic nie szkodzi. W tej chwili nie chcę nic czytać. Gdy ktoś jest ślepy jak ja i zgubi jedną parę, a nie ma drugiej, żeby poszukać pierwszej, to nigdy ich nie znajdzie. No bo nic nie widzi.

— Poszukam ich — zaofiarowała się Sybil. — Miała je pani przed chwilą.

— Wychodziłam do drugiego pokoju, kiedy byłaś na górze. Pewnie je tam zostawiłam.

Przeszła do drugiego pomieszczenia.

— Tyle zachodu. Chcę wreszcie skończyć rachunki, a jak mam to zrobić bez okularów?

— Pójdę na górę i przyniosę pani drugą parę z sypialni — zaproponowała Sybil.

— Nie mam drugiej pary — powiedziała Alicja Coombe.

— A co się z nią stało?

— Chyba zostawiłam ją wczoraj na lunchu. Dzwoniłam do restauracji. Przedzwoniłam nawet do dwóch sklepów, do których wstępowałam po drodze.

— Ojej — wyrwało się Sybil. — Powinna pani mieć trzy pary okularów.

— Gdybym miała trzy pary, całe życie upłynęłoby mi na szukaniu którejs z nich — stwierdziła Alicja Coombe. — Uważam, że najlepiej mieć tylko jedną. Wtedy trzeba jej szukać, dopóki się nie znajdzie.

— Muszą przecież gdzieś być — powiedziała Sybil. — Nie wychodziła pani z tych dwóch pokoi. Tu na pewno ich nie ma, a więc najpewniej położyła pani okulary w przymierzalni.

Wróciła do pierwszego pokoju i obeszła go, sprawdzając każde miejsce. Na koniec przyszło jej coś do głowy i podniosła lalkę z sofy.

— Mam je — zawołała.

— Gdzie były?

— Pod naszą drogocenną lalką. Najwyraźniej upuściła je pani, odkładając lalkę na miejsce.

— Ależ nie. Na pewno tego nie zrobiłam.

— Och — westchnęła Sybil, zirytowana. — W takim razie lalka musiała je zabrać i schować.



— A wiesz — powiedziała Alicja, patrząc z namysłem na lalkę — to by nawet do niej pasowało. Wygląda na inteligentną, prawda? — Nie podoba mi się jej buzia — stwierdziła Sybil.

— Wygląda, jakby wiedziała coś, czego my nie wiemy.

— Nie sądzisz, że wygląda na trochę smutną i trochę miłą? — zasugerowała Alicja, wstawiając się bez przekonania za lalkę.

— Według mnie nie jest ani trochę miła — powiedziała Sybil.

— Cóż, pewnie masz rację... Och, zabierzmy się wreszcie do pracy. Za dziesięć minut zjawi się lady Lee. Chcę skończyć i nadać na pocztę te faktury.

— Pani Fox! Pani Fox?

— Tak, Margaret? — powiedziała Sybil. — O co chodzi? Sybil, pochylona nad stołem, cięła atłas.

— Och, pani Fox, to znowu ta lalka. Zniosłam na dół brązową suknię, tak jak pani mówiła. Ta lalka siedzi znów za biurkiem. Ja tego nie zrobiłam. Żadna z nas jej nie dotykała. Niech mi pani wierzy, pani Fox, nie zrobiłybyśmy czegoś takiego.

Nożyczki w ręku Sybil zjechały trochę w bok.

— No i masz — powiedziała ze złością. — Popatrz, co przez ciebie narobiłam. Zresztą, jakoś to naprawię. Co z tą lalką?

— Znowu siedzi za biurkiem.

Sybil zeszła na dół do przymierzalni. Lalka siedziała za biurkiem, dokładnie tak jak przedtem.

— Jesteś bardzo uparta, co? — zwróciła się Sybil do lalki.

Wzięła ją bezceremonialnie i odłożyła na sofę.

— Tu jest twoje miejsce, moja droga — powiedziała.

— Masz tu zostać.

Przeszła do drugiego pokoju.

— Panno Coombe?

— Tak, Sybil?

— Ktoś urządził sobie zabawę. Ta lalka znów siedziała za biurkiem.

— Kto według ciebie?

— Na pewno któraś z dziewcząt z góry. Pewnie uważa, że jest dowcipna. Oczywiście zaklinają się, że to nie one.

— Która to? Margaret?

— Nie, nie sędzę. Czła się nieswojo opowiadając o lalce. Przypuszczam, że to sprawka rozchichotanej Marlene.

— Tak czy inaczej, żart jest bardzo głupi.

— Oczywiście, jest... idiotyczny. Jednakże — ciągnęła Sybil ze złością — mam zamiar położyć mu kres.

— Ciekawe, jak.

— Zobacz pani — powiedziała Sybil.

Tego wieczora przed wyjściem zamknęła przymierzalnię na klucz.

— Zamykam drzwi — oświadczyła — i zabieram klucz ze sobą.

— Rozumiem — powiedziała z lekkim rozbawieniem Alicja Coombe. — Zaczynasz podejrzewać, że to moja sprawka, prawda? Uważasz, że jestem tak roztargniona, że wchodzę do pokoju, myślę, że piszę za biurkiem, ale zamiast tego biorę lalkę i sadzam na krześle, żeby pisała za mnie. Mam rację? A potem zapominam o wszystkim?

— Istnieje taka możliwość — przyznała Sybil. — Chcę się upewnić, że dzisiejszej nocy nie będzie żadnych głupich dowcipów.

Następnego ranka pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Sybil, zaciskając usta, było otworenie drzwi przymierzalni. Wmaszerowała do środka. Na podeście czekała pani Groves ze szczotką i szmatką do kurzu w rękę. Wyglądała na urażoną.

— Teraz zobaczymy! — rzuciła Sybil.

Zaraz jednak cofnęła się, łapiąc gwałtownie powietrze. Lalka siedziała za biurkiem.

— Ooo! — wyrwało się pani Groves. — Niesamowite! Och, pani Fox, strasznie pani blada, jakby zobaczyła pani ducha. Potrzeba pani kapki czegoś mocniejszego. Może panna Coombe ma coś na górze?

— Nic mi nie jest — oświadczyła Sybil.

Podeszła do lalki, podniosła ją ostrożnie i wyniosła z pokoju.

— Znów ktoś wyciął pani sztuczkę — stwierdziła pani Groves.

— Nie wiem, jak się to udało tym razem — powiedziała Sybil powoli. — Wczoraj wieczorem zamknęłam drzwi na klucz. Sama pani wie, że nikt nie mógł wejść.

— Może ktoś ma zapasowe klucze? — podsunęła pani Groves.

— Nie sędzę. Nigdy wcześniej nie zawracałyśmy sobie głowy zamykaniem tych drzwi. To stary klucz i mamy tylko ten jeden.

— Może jakiś inny będzie pasował, na przykład ten do drzwi naprzeciw?

Wypróbowały kolejno wszystkie klucze używane w sklepie, ale żaden nie pasował do zamka w drzwiach przymierzalni.

— To bardzo dziwne, panno Coombe — mówiła Sybil później, kiedy jadły razem lunch.

Alicja Coombe wyglądała na zadowoloną.

— Moja droga, według mnie to wprost nadzwyczajne — stwierdził. — Myślę, że powinniśmy napisać o tym do ludzi zajmujących się badaniami spirytystycznymi. Mogliby kogoś tu przysłać. Na przykład medium albo kogoś, kto by sprawdził, czy w pokoju nie dzieje się nic niezwykłego.

— Wcale się tym pani nie przejmuje — zauważyła Sybil.

— W pewnym sensie nawet mi się to podoba — przyznała Alicja. — W moim wieku każde wydarzenie to rozrywka. Ale mimo to — dodała z namysłem — cała sprawa raczej mi się nie podoba. Chodzi mi o to, że ta lalka naprawdę przechodzi samą siebie, prawda?

Tego wieczoru Sybil i Alicja Coombe powtórnie zamknęły drzwi do przymierzalni na klucz.

— Nadal uważam — powiedziała Sybil — że ktoś urządza sobie dowcipy. Chociaż nie wiem, po co...

— Myślisz, że rano znowu będzie siedziała za biurkiem? — spytała Alicja.

— Tak — przyznała Sybil.

Lecz myliły się. Lalka nie siedziała za biurkiem. Siedziała na parapecie i patrzyła przez okno na ulicę. I znów wyglądała całkiem naturalnie.

— To okropnie głupie, prawda? — powiedziała Alicja, kiedy tego popołudnia zasiadły do pośpiesznej herbaty. Za obopólną zgodą nie piły jej w przymierzalni, jak zwykle, ale w saloniku Alicji Coombe po drugiej stronie.

— W jakim sensie głupie?

— Nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Poza lalką, która przenosi się z miejsca na miejsce.

Wraz z upływem kolejnych dni to spostrzeżenie wydawało się coraz bardziej trafne. Lalka poruszała się nie tylko w nocy. O każdej porze, wchodząc do przymierzalni po kilkuminutowej choćby nieobecności, Sybil i Alicja znajdowały maskotkę na innym miejscu. Na przykład zostawiały ją na sofie, a znajdowały na krześle. A za jakiś czas lalka siedziała na taborecie. Niekiedy przenosiła się na parapet, a potem wracała za biurko.

— Po prostu przesiada się, gdzie ma ochotę— powiedziała Alicja Coombe. — I sędzę, Sybil, że ją to bawi. Obie kobiety stały wpatrzona w bezwładną figurkę z miękkiego aksamitu, o wymalowanej, jedwabnej buzi.

— To po prostu parę skrawków starego aksamitu i jedwabiu muśniętego pędzlem — zauważyła Alicja. Mówiła w napięciu. — Myślę, że mogłybyśmy... pozbyć się jej.

— Jak to: pozbyć? — zapytała Sybil. Wydawała się zaskoczona.

— Mogłybyśmy wrzucić ją do pieca — wyjaśniła Alicja Coombe. — Gdybyśmy miały piec. Mogłybyśmy ją spalić jak czarownicę. Albo — dodała trzeźwo — mogłybyśmy po prostu wrzucić ją do pojemnika na śmieci.

— To by chyba nie wystarczyło — odparła Sybil.

— Ktoś by ją pewnie wyjął i odniósł z powrotem.

— Możemy ją gdzieś wysłać — kontynuowała Alicja.

— Do jednej z tych organizacji, które zawsze przysyłają listy z prośbą o rzeczy na sprzedaż albo na kiermasz. To chyba najlepszy pomysł.

— Nie jestem pewna... Prawie bym się bała tak zrobić.

— Bałabyś się?

— Bo... myślę, że ona by wróciła — wyjaśniła Sybil.

— To znaczy: wróciłaby tutaj?

— Tak.

— Jak gołąb pocztowy?

— Tak, tak właśnie sędzę.

— Chyba nie zaczynamy wariować? Może ja rzeczywiście dziecinnieję na starość, a ty mi ustępujesz dla świętego spokoju?

— Nie — zaprzeczyła Sybil. — Ale mam paskudne, przerażające wrażenie, że ona jest od nas silniejsza.

— Co? Ta kupa szmat?

— Tak, właśnie ta okropna kupa szmat. Bo — widzi pani — ona jest bardzo zdeterminowana.

— Zdeterminowana?

— Żeby postawić na swoim. Chodzi mi o to, że przymierzalnia to teraz jej pokój!

— Tak — przyznała Alicja, patrząc wokoło — rzeczywiście należy do niej. Oczywiście, jeśli się nad tym zastanowić, było tak zawsze. Spójrz choćby na kolorystykę... Sądziłam, że pasuje tutaj, ale to pokój pasuje do niej. Muszę przyznać — w głosie Alicji pojawiła się odrobina animuszu — że to dość absurdalne, jeżeli lalka bierze cokolwiek w posiadanie. Pani Groves już tu nie wchodzi, żeby posprzątać.

— Mówiła, że boi się lalki?

— Nie. Po prostu znajduje coraz to nową wymówkę. Po chwili Alicja zapytała z paniką w głosie:

— Co my teraz zrobimy, Sybil? To mnie przygnębia, sama rozumiesz. Od tygodni nie jestem w stanie czegokolwiek zaprojektować.

— A ja nie potrafię skupić się na krojeniu — wyznała Sybil. — Popełniam mnóstwo głupich błędów. Może — zaczęła niepewnie — rzeczywiście, jak pani mówiła, trzeba by napisać do towarzystwa spirytystycznego?

— Tylko byśmy. wyszły na idiotki — powiedziała Alicja. — Nie mówiłam tego poważnie. Przypuszczam, że powinnyśmy pracować dalej, dopóki...

— Tak?

— Och, sama nie wiem — zakończyła Alicja i roześmiała się niepewnie.

Następnego dnia Sybil zastała drzwi do przymierzalni zamknięte.

— Ma pani klucz, panno Coombe? To pani zamknęła pokój wczoraj wieczorem?

— Tak — przyznała Alicja. — Zamknęłam go i pozostanie zamknięty.

— Jak to? — Po prostu zrezygnowałam z tego pokoju. Lalka może go sobie zabrać. Nie potrzeba nam dwóch pomieszczeń. Suknie będziemy mierzyć tutaj.

— Ależ to pani prywatny salonik!

— Już go nie chcę. Mam bardzo ładną sypialnię. Mogę ją przerobić na sypialnię z salonikiem,

prawda?

— Czy to znaczy, że naprawdę nie zamierza pani wejść więcej do przymierzalni? — spytała Sybil z niedowierzaniem.

— Właśnie tak.

— Ale... co ze sprzątaniami? Pokój będzie w strasznym stanie!

— A niech tam! Jeżeli lalka przywłaszczyła go sobie, to niech sama sprząta.

Po chwili Alicja dodała:

— Wiesz, że ona nas nienawidzi?

— Co też pani mówi? Lalka miałaby nas nienawidzić?

— Tak. Nie zauważyłaś? Musiałaś to dostrzec. Na pewno to czułaś, patrząc na nią.

— Rzeczywiście — przyznała Sybil z namysłem.

— Chyba tak. Chyba od początku czułam, że ona nas nienawidzi i że chce się nas pozbyć.

— Małe, złośliwe stworzenie — podsumowała Alicja.

— Teraz powinna być zadowolona.

W następnych dniach wszystko toczyło się dość spokojnie. Alicja Coombe oświadczyła swoim pracownikom, że na jakiś czas przestaje korzystać z przymierzalni. Wyjaśniła, że było za dużo pokoi do sprzątania.

Mimo to wieczorem tego samego dnia dosłyszała, jak jedna z dziewcząt mówi do drugiej:

— Panna Coombe naprawdę ma źle w głowie. Zawsze uważałam ją za dziwaczkę. Pomyśl tylko o rzeczach, które ciągle gubi i o których zapomina. Ale teraz to przekroczyło wszelkie granice. Ma fioła na punkcie tej lalki na dole.

— O, nie sądzisz chyba, że naprawdę zwariuje, co? — powiedziała druga dziewczyna. — Że rzuci się na nas z nożem?

Wyszły pochłonięte rozmową, a Alicja opadła oburzona na krzesło. Wariuje! No coś takiego! Po chwili powiedziała ponuro do siebie:

— Gdyby nie Sybil, pewnie sama zaczęłabym podejrzewać się o szaleństwo. Ale biorąc pod uwagę i mnie, i Sybil, no i panią Groves, w całej sprawie musi coś być. Nie wiem tylko, jak to się skończy.

Trzy tygodnie później Sybil zwróciła się do Alicji:

— Musimy od czasu do czasu wejść do tego pokoju.

— Po co?

— Na pewno ocieka brudem, a wszędzie panoszą się mole. Powinnyśmy przynajmniej zamieść podłogę i odkurzyć.

— Wolałabym tam nie wchodzić. Niech pozostanie zamknięty.

— Jest pani jeszcze bardziej przesądna niż ja — stwierdziła Sybil.

— Pewnie tak — przyznała Alicja. — Łatwiej przyszło mi uwierzyć we wszystko, ale... pamiętasz, na początku uważałam, że to dość podniecające, dziwaczne, choć... sama nie wiem. Po prostu boję się i wolałabym tam nie wchodzić.

— No cóż, ale ja chcę tam wejść i zamierzam to zrobić — upierała się Sybil.

— Wiesz, jak nazywa się twój problem? To zwyczajna ciekawość — stwierdziła Alicja.

— Może i tak. Chcę zobaczyć, co ona zrobiła.

— Nadal uważam, że lepiej zostawić ją samej sobie. Jest zadowolona, że wyniosłyśmy się z pokoju. Lepiej, żeby taka pozostała — westchnęła zirytowana. — Och, pleciemy bzdury! — Wiem. Oczywiście, pleciemy bzdury, ale jeśli podsunie mi pani jakiś sposób, żeby tego nie robić... No, proszę dać mi klucz.

— Dobrze już, dobrze.

— Pewnie obawia się pani, że ją wypuszczę. Tyle że ona sama potrafi przechodzić przez drzwi i okna.

Sybil przekręciła klucz i weszła do pokoju.

— Bardzo to dziwne — powiedziała.

— Co takiego? — spytała Alicja, zerkając nad jej ramieniem.

— Prawie nie ma kurzu, prawda? A przecież po tak długim czasie...

— To rzeczywiście dziwne.

— Jest tutaj — powiedziała Sybil.

Lalka siedziała na sofie. Nie leżała bezwładnie jak zwykle. Była wyprostowana, wsparta plecami o poduszkę. Wyglądała jak właścicielka domu gotowa na przyjęcie gości.

— Cóż, rzeczywiście się zadomowiła, prawda? — powiedziała Alicja Coombe. — Czuję się niemal tak, jakbym powinna przeprosić ją za najście.

— Chodźmy stąd — zaproponowała Sybil. Wycofała się, zamykając za sobą drzwi i przekręcając klucz w zamku.

Obie kobiety spojrzały na siebie.

— Gdybym tylko wiedziała — powiedziała Alicja Coombe — dlaczego to nas tak przeraża...

— Każdy byłby wystraszony.

— Ale właściwie cóż takiego się stało? Tylko lalka przesiada się z miejsca na miejsce. Zresztą pewnie nie chodzi o samą lalkę. Może to duchy.

— Świetne wytłumaczenie.

— Sama w nie nie wierzę. Według mnie to... to jednak lalka.

— Na pewno nie wie pani, skąd się u nas wzięła?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. I im więcej nad tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że nie kupiłam jej ani nie dostałam. Myślę, że ona... po prostu przyszła.

— Myśli pani, że kiedykolwiek... odejdzie?

— Właściwie — powiedziała Alicja — nie ma po co. Dostała wszystko, czego chciała.

Lecz wyglądało na to, że lalka nie dostała wszystkiego. Następnego dnia, kiedy Sybil weszła do salonu, musiała gwałtownie wciągnąć oddech. Zawołała w stronę pokoi na piętrze.

— Panno Coombe! Panno Coombe, proszę zejść na dół!

— Co się stało?

Alicja Coombe wstała tego dnia późno. Schodziła po schodach, utykając niepewnie, bo dopadł ją reumatyczny ból w prawym kolanie.

— Co się z tobą dzieje, Sybil?

— Niech pani spojrzy. Proszę zobaczyć, co się stało tym razem.

Stały w drzwiach. Na sofie, oparta bezwładnie o poręcz, siedziała lalka.

— Wydostała się — powiedziała Sybil. — Wydostała się z pokoju! Teraz chce mieć i ten!

Alicja Coombe usiadła na progu.



— W końcu — powiedziała — będzie chciała dostać cały sklep.

— To możliwe — zgodziła się Sybil.

— Ty paskudna, złośliwa mała bestio — Alicja mówiła prosto do lalki. — Dlaczego nas prześladujesz? Nie chcemy cię.

Obie z Sybil miały wrażenie, że lalka poruszyła się lekko. Zupełnie jakby jej ramiona i nogi osunęły się jeszcze niżej. Długa ręka leżała bezwładnie na poręczy sofy, a na wpół schowana twarz wydawała się spoglądać spod ramienia. A było to przebiegłe, złośliwe spojrzenie.

— Okropne stworzenie — stwierdziła Alicja. — Nie zniosę tego! Dłużej tego nie wytrzymam!

Alicja, ku zaskoczeniu Sybil, podskoczyła do sofy, chwyciła lalkę, podbiegła do okna, otworzyła je i wyrzuciła zabawkę na ulicę. Sybil odetchnęła gwałtownie, dusząc w sobie okrzyk zgrozy.

— Och, Alicjo, nie powinnaś była tego robić! Jestem pewna, że zrobiłaś bardzo źle!

— Musiałam z tym skończyć — odparła Alicja Coombe. — Po prostu nie mogłam już tego znieść.

Sybil podeszła do okna. Na dole, na chodniku, lalka leżała bezwładnie, twarzą do ziemi.

— Zabiłaś ją — stwierdziła Sybil.

— Nie pleć głupstw... Jak mogłam zabić coś zrobionego ze skrawków materiału? Ona nie była prawdziwa.

— Była przerażająco prawdziwa. Alicja odetchnęła gwałtownie.

— Na Boga! To dziecko...

Mała, biednie ubrana dziewczynka stanęła nad lalką. Spojrzała w górę i w dół jezdni, która o tak wczesnej porze była niemal pusta. Jechało nią tylko parę samochodów. Potem, zadowolona, schyliła się, podniosła lalkę i przebiegła na drugą stronę ulicy.

— Stój! Zatrzymaj się! — krzyknęła Alicja. Obróciła się do Sybil.

— To dziecko nie może wziąć lalki. Nie może! Ta lalka jest niebezpieczna, zła. Musimy je powstrzymać.

Nie one jednak je zatrzymały. Udało się to przejeżdżającym samochodom. W tej samej chwili trzy taksówki nadjechały z jednej strony; z drugiej zbliżały się dwie furgonetki dostawcze. Dziecko stało uwięzione na wysepce pośrodku jezdni. Sybil zbiegła ze schodów, Alicja pędziła tuż za nią. Prześlizgując się między furgonetką i samochodem osobowym, Sybil, z Alicją tuż za plecami, dotarła do wysepki, zanim dziecko mogło przedostać się na drugą stronę.

— Nie możesz wziąć tej lalki — powiedziała Alicja. — Oddaj mi ją.

Dziewczynka spojrzała na Alicję. Była chuda, drobna, miała koło ośmiu lat, lekko zezowała. Zareagowała buntowniczo:

— Dlaczego miałabym ci ją oddawać? Wyrzuciłaś ją przez okno, widziałam. Jeśli ją wypchnęłaś, to znaczy, że jej nie chcesz. Teraz jest moja.

— Kupię ci inną lalkę — przekonywała Alicja w zdenerwowaniu. — Pójdziemy do sklepu z zabawkami, gdziekolwiek chcesz. Kupię ci najlepszą lalkę, jaką znajdziemy. Ale oddaj mi tę.

— Nie — odparła dziewczynka.

Opiekuńczym gestem zamknęła lalkę w ramionach.

— Musisz ją oddać — wtrąciła się Sybil. — Nie należy do ciebie.

Wyciągnęła rękę, by odebrać lalkę, ale dziewczynka kopnęła ją w nogę i odwróciła się z krzykiem:

— Nie oddam! Nie oddam! Ona jest moja! Wy jej nie kochacie. Nienawidzicie jej. Inaczej nie wypchnęłybyście jej przez okno. A ja ją kocham. Ona tego właśnie chce. Chce być kochana!

A potem jak węgorz przemknęła między samochodami na drugą stronę ulicy, pobiegła w dół chodnika i zniknęła z oczu, zanim obie starsze kobiety zdecydowały się biec za nią.

— Przepadła — stwierdziła Alicja.

— Powiedziała, że lalka chciała być kochana — odezwała się Sybil. — Może... może tego właśnie chciała przez cały czas... Żeby ktoś ją kochał...

Stojąc na środku londyńskiej ulicy, obie kobiety spojrzały na siebie z przerażeniem.

# Mroczne odbicie

Nie potrafię wyjaśnić tej historii. Nie wiem, jak i dlaczego do niej doszło. To po prostu coś, co się wydarzyło.

Mimo to zastanawiam się czasem, jak potoczyłoby się wszystko, gdybym zauważył wówczas ten jeden, zasadniczy szczegół, którego wagę oceniłem dopiero wiele lat później. Gdybym go wówczas dostrzegł... cóż, przypuszczam, że życie trzech osób ułożyłoby się zupełnie inaczej. I w jakimś sensie jest to myśl przerażająca.

Aby zacząć, muszę cofnąć się do lata 1914 roku, tuż przed wybuchem wojny. Pojechałem wtedy do Badgeworthy z Neilem Carslakiem. Neila mogę nazwać moim najlepszym przyjacielem. Znałem również jego brata Alana, choć niezbyt dobrze. Nigdy nie spotkałem Sylvii, ich siostry. Była o dwa lata młodsza od Alana i o trzy od Neila. Gdy chodziliśmy razem do szkoły, dwukrotnie zamierzałem spędzić w Badgeworthy część wakacji razem z Neilem i dwukrotnie coś stało mi na przeszkodzie. Tak się więc złożyło, że po raz pierwszy ujrzałem dom Neila i Alana mając dwadzieścia trzy lata.

Zebrała się tam wówczas spora grupa gości. Sylvia zaręczyła się właśnie z facetem nazwiskiem Charles Crawley. Neil mówił, że jest od niej dużo starszy, ale że przyzwoity z niego gość i nawet zamożny.

Pamiętam, że przyjechaliśmy koło siódmej wieczorem. Wszyscy rozeszli się do siebie, by się przebrać do obiadu. Neil zaprowadził mnie do mojego pokoju. Badgeworthy było atrakcyjną, zbudowaną bez jednolitego planu, starą siedzibą. Dom rozbudowywano swobodnie przez ostatnie trzy stulecia. Pełno w nim było stopni prowadzących w górę i na dół, mnóstwo nieoczekiwanych klatek schodowych. To był dom, w którym naprawdę trudno się rozeznąć. Neil obiecał, że wstąpi po mnie, kiedy będzie schodził na obiad. Czuję się trochę onieśmielony przed pierwszym spotkaniem z jego rodziną. Pamiętam, że zauważyłem ze śmiechem, iż w takim domu człowiek spodziewa się natknąć na ducha w korytarzu. On odrzekł niedbale, że podobno dom jest nawiedzony, ale nikt z rodziny nigdy niczego nie zobaczył. Nie wiedział nawet, jaki duch miałby straszyć.

Potem odszedł spiesznie, a ja zabrałem się do przekopywania moich walizek w poszukiwaniu stroju wieczorowego. Carslake'owie nie byli zamożni. Przyłgnęli do starego domostwa, ale brakowało tu służącego, który rozpakowałby rzeczy i obsłużył gości.

Zacząłem właśnie wiązać krawat. Stałem przed lustrem. Widziałem odbicie mojej twarzy i ramion, a z tyłu — ściany, po prostu płaszczyzny złamanej pośrodku prostokątem drzwi. Kiedy wreszcie zawiązałem krawat, zauważyłem, że otwierają się powoli.

Nie wiem, dlaczego się nie odwróciłem. Byłby to całkiem naturalny odruch, lecz ja tylko patrzyłem, jak rozwierają się wolno. A kiedy całkiem się otworzyły, ujrzałem za nimi drugi pokój.

To była sypialnia, większa od mojej, z dwoma łózkami. Nagle złapałem gwałtownie oddech.

Przy nogach łóżka leżała dziewczyna. Jej szyję obejmowały męskie dłonie. Mężczyzna powoli odchyłał jej głowę do tyłu i coraz mocniej zaciskał ręce. Dusił ją.

Nie istniała najmniejsza możliwość pomyłki. Obraz był bardzo wyraźny i oznaczał jedno: morderstwo.

Widziałem dokładnie dziewczynę, jej złote włosy, przerażenie zamierające na pięknej twarzy, coraz bardziej sinej i opuchniętej. Widziałem plecy mężczyzny, jego ręce i bliznę biegnącą w dół lewego policzka do szyi.

Ta relacja zajęła mi trochę czasu, ale w rzeczywistości stałem w osłupieniu zaledwie chwilę. Potem obróciłem się i ruszyłem na ratunek...

Lecz przy ścianie za mną, ścianie, która odbijała się w lustrze, stała jedynie mahoniowa szafa. Nie było żadnych otwartych drzwi ani sceny zbrodni. Błyskawicznie odwróciłem się do lustra. Odbijało tylko szafę...

Przetarłem oczy dłońmi. Potem przebiegłem przez pokój i usiłowałem odsunąć szafę. W tej właśnie chwili do pokoju wszedł Neil i spytał, co u diabła wyprawiam.

Musiał uznać, że mi odbiło. Obróciłem się ku niemu pytając, czy za szafą są jakieś drzwi. Powiedział, że tak i że prowadzą do drugiego pokoju. Spytałem, kto go zajmuje, a Neil odparł, że Oldhamowie, to znaczy major Oldham z żoną. Moje kolejne pytanie brzmiało, czy pani Oldham jest jasną blondynką. Neil wyjaśnił sucho, że ma ciemne włosy. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że robię z siebie durnia. Opanowałem się, rzuciłem jakąś chaotyczną wymówkę i zeszedliśmy na dół. Powtarzałem sobie, że miałem halucynacje. W sumie byłem zawstydzony i czułem się trochę jak osioł.

A potem... potem Neil powiedział: „To moja siostra Sylvia”. Patrzyłem prosto na śliczną dziewczynę, którą przed chwilą duszono na moich oczach. Zostałem przedstawiony jej narzeczonemu, wysokiemu, ciemnowłosemu mężczyźnie z blizną po lewej stronie twarzy.

I to wszystko. Ciekawe, co wy zrobilibyście na moim miejscu. Ta dziewczyna i mężczyzna, który ją dusił, mieli pobrać się za jakiś miesiąc... Czy zobaczyłem przyszłość? Czy Sylvia przyjedzie tu kiedyś z mężem, zamieszka w tamtym pokoju (najlepszym pokoju gościnnym), a ta ponura scena, której byłem świadkiem, stanie się częścią nieubłaganej rzeczywistości?

Co miałem robić? Co mogłem zrobić? Czy ktokolwiek — Neil albo jego siostra — by mi uwierzył?

Przez cały tydzień, jaki tam spędziłem, wciąż rozważałem wszystko w myślach. Powiedzieć czy nie? I niemal natychmiast sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Widzicie, zakochałem się w Sylvii Carlslake w tej samej chwili, w której ją zobaczyłem... Pragnąłem jej mocniej niż czegokolwiek na świecie. I w jakimś sensie to wiązało mi ręce.

Gdybym nic nie powiedział, Sylvia poślubiłaby Charlesa Crawleya i Crawley zabiłby ją...

Tak więc w przeddzień wyjazdu opowiedziałem jej wszystko. Uprzedziłem, że pomyśli najpewniej, iż jestem stuknięty, ale przysiągłem, że widziałem wszystko na własne oczy. Wyjaśniłem, że czułem, iż jeśli zdecydowała się poślubić Crawleya, winienem opowiedzieć jej o moim niezwykłym przeżyciu.

Wysłuchiwała mnie bardzo spokojnie. W jej oczach było coś, czego nie rozumiałem. Wcale się nie gniewała. Kiedy skończyłem, podziękowała mi z powagą. Powtarzałem jak idiota: „Naprawdę to widziałem”. Odpowiedziała: „Jestem pewna, że tak było, skoro to mówisz. Wierzę ci”.

Cóż, wynik był taki, że wyjechałem nie wiedząc, czy postąpiłem słusznie, czy zachowałem się jak ostatni głupiec. Tydzień później Sylvia zerwała zaręczyny.

Potem wybuchła wojna i nie było czasu na myślenie o czymkolwiek innym. Raz czy dwa, kiedy miałem urlop, spotkałem Sylvię, ale unikałem jej, jeśli tylko mogłem.

Kochałem ją i pragnąłem jej jak zawsze, ale czułem się nie w porządku. Przeze mnie zerwała z Crawleyem. Tłumaczyłem sobie, że mogę usprawiedliwić siebie tylko wtedy, gdy zajmę obiektywne stanowisko.

W 1916 roku Neil zginął i tak wypadło, że to ja musiałem opowiedzieć Sylvii o ostatnich chwilach jego życia. Po tym nie potrafiliśmy już poprzestać na oficjalnej znajomości. Sylvia uwielbiała Neila, mojego najlepszego przyjaciela. Była słodka, zachwycająco słodka w swym żalu. Ledwie zdołałem powstrzymać język i wróciłem na front modląc się, by kula zakończyła moje nędzne życie. Bo bez Sylvii nie było nic warte. Lecz nie trafiłem na kulę z moim imieniem. Prawie dosięgła mnie jedna — przeszła tuż pod prawym uchem. Inna zatrzymała się na cygarnicze, którą nosiłem w kieszeni na piersiach. Wróciłem bez szwanku. Charles Crawley zginął w walce na początku 1918 roku.

To w jakimś sensie zmieniało sytuację. Wróciłem do domu jesienią, tuż przed podpisaniem zawieszenia broni, i pojechałem prosto do Sylvii. Powiedziałem, że ją kocham. Nie miałem zbyt wiele nadziei, że raptem zacznie jej na mnie zależeć. Piórko zwałiłoby mnie z nóg, kiedy spytała, dlaczego nie powiedziałem jej o tym wcześniej. Wyjąkałem coś o Crawleyu, a ona rzuciła: „A dlaczego według ciebie z nim zerwałam?” Powiedziała, że zakochała się we mnie tak jak ja — od pierwszej chwili.

Wyjaśniłem, że uważałem, iż zerwała zaręczyny przez moje opowiadanie, a ona wyśmiała mnie z pogardą. Powiedziała, że gdy się kogoś kocha, nie jest się takim tchórzem. Powtórnie przedyskutowaliśmy moje halucynacje i zgodziliśmy się, że były dziwaczne, lecz nic poza tym.

Właściwie nie ma sensu opowiadać o następnych latach. Pobraliśmy się i byliśmy bardzo szczęśliwi. Chociaż kiedy tylko Sylvia naprawdę stała się moja, uświadomiłem sobie, że nie jestem najlepszym mężem. Kochałem ją całym sercem, ale byłem zazdrosny, absurdalnie zazdrosny o każdego, do kogo się choćby uśmiechnęła. Najpierw to ją bawiło i chyba nawet się jej podobało. Dowodziło, jak bardzo jestem do niej przywiązany.

Jeśli chodzi o mnie, dokładnie zdawałem sobie sprawę, że nie tylko robię z siebie durnia, ale że ryzykuję spokój iszczęście naszego związku. Wiedziałem o tym, ale nie potrafiłem się zmienić. Za

każdym razem, kiedy Sylvia dostawała list i nie chciała mi go pokazać, zastanawiałem się, kto jest nadawcą. Jeśli śmiała się i rozmawiała z mężczyzną, obserwowałem ją posepnie.

Najpierw — jak wspomniałem — Sylvia śmiała się ze mnie. Uznawała, że to świetny żart. Potem już nie uważała tego za aż tak śmieszne. Wreszcie w ogóle przestała traktować to jak żart.

Stopniowo zaczęła się ode mnie oddalać. Nie w sensie fizycznym. Przestała dzielić się ze mną sekretami. Nie znałem już jej myśli. Była miła, lecz smutna — jak odległe wspomnienie.

Powoli uświadomiłem sobie, że przestała mnie kochać. Jej uczucie umarło, i to ja je zabiłem.

Następny krok był nieunikniony. Czekałem na to i bałem się...

W nasze życie wkroczył Derek Wainwright. Miał to wszystko, czego mnie brakowało. Był inteligentny i dowcipny. Był też przystojny i — muszę przyznać — absolutnie w porządku. Jak tylko go ujrzałem, powiedziałem sobie: „To odpowiedni mężczyzna dla Sylvii...”

Walczyła z tym. Wiedziałem, że się opiera... ale nie pomogłem jej. Nie potrafiłem. Otoczyłem się ponurym, posepnym milczeniem. Cierpiałem jak w piekle i nie mogłem wyciągnąć bodaj palca, by się ratować. Nie pomogłem jej. Tylko pogarszałem sprawę. Któregoś dnia wyrzuciłem z siebie wszystko. Zaatakowałem ją dziko, bezpodstawnie. Niemal oszalałem z zazdrości i cierpienia. Wykrzyczałem okrutne, nieprawdziwe słowa i wypowiadając je wiedziałem, jak bardzo były okrutne i nieprawdziwe. A jednak sprawiły mi dziką przyjemność... Pamiętam, jak Sylvia zaczerwieniła się i skuliła... Doprowadziłem ją do granic wytrzymałości. Pamiętam, że powiedziała: „To nie może trwać dalej...” Kiedy tamtej nocy wróciłem do domu, nie zastałem nikogo. Znalazłem tylko notatkę w tradycyjnej formie. Sylvia pisała, że odchodzi ode mnie na dobre. Na jakieś dwa dni jedzie do Badgeworthy. Potem zobaczy się z jedyną osobą, która ją kocha i jej potrzebuje. Miałem to odczytać jako ostateczne rozstanie.

Przypuszczam, że aż do tamtej pory nie całkiem wierzyłem swoim podejrzeniom. Potwierdzenie moich najgorszych obaw na piśmie wprowadziło mnie we wściekłość. Pojechałem za nią do Badgeworthy, cisnąc pedał gazu do deski.

Przebierała się właśnie do obiadu, kiedy wpadłem do pokoju. Widzę jeszcze jej twarz: zaskoczona, piękną, przerażoną.

Powiedziałem: „Nikt prócz mnie nie będzie cię miał. Nikt”.

Złapałem ją za gardło i ścisnąłem, odchylając jej głowę do tyłu.

Nagle dostrzegłem nasze odbicie w lustrze. Sylvia dusiła się, ja zaciskałem ręce na jej szyi, a na moim policzku widniała blizna po kuli, która przeszła pod prawym uchem.

Nie — nie zabiłem jej. To nagle objawienie sparaliżowało mnie. Rozluźniłem uścisk i pozwoliłem jej osunąć się na podłogę.

A potem załamałem się, a ona mnie pocieszała... Tak, ona mnie pocieszała.

Powiedziałem jej wszystko, a ona wyjaśniła, że pisząc o „jedynej osobie, która kocha ją i jej potrzebuje” miała na myśli swego brata Alana... Tamtej nocy zajrzeliśmy w głąb naszych serc i odtąd nigdy już nie oddaliliśmy się od siebie...

To dość ponura myśl jak na resztę życia: że — gdyby nie miłosierdzie Boga i lustro — byłbym mordercą...

Jedna rzecz umarła tamtej nocy: zazdrość, która zżerała mnie tak długo...

Lecz czasem zastanawiam się: Przypuśćmy, że nie popełniłbym tego błędu — mówię o bliźnie na lewym policzku, podczas gdy w rzeczywistości chodziło o prawy, odbity w lustrze... Czy powinienem był z taką pewnością twierdzić, że to Charles Crawley? A gdybym nie ostrzegł Sylvii? Czy wyszłaby za niego, czy za mnie?

Czy też przeszłość i przyszłość to jedno?

Jestem prostym człowiekiem i nie udaję, że znam się na tym. Lecz widziałem, co widziałem, i z tej przyczyny Sylvia i ja jesteśmy razem, póki — mówiąc staromodnie — śmierć nas nie rozłączy. A może i potem...

---

\* bunch (ang.) — garstka

\* jewel (ang.) — klejnot

\* Opowiadanie oparte jest na grze słów. Dwa powiedzenia: „Wieprzowina ze szpinakiem” i „Całe moje oko i Betty Martin”, w języku angielskim oznaczają nonsens, bzdurę.

\* Oxford Group — katolicki odłam wyłoniony z Kościoła anglikańskiego

\* slack (ang.) — opieszały